

KARYKATURY KIETLICZ-RAYSKIEGO.

W salonie artystycznym „Sztuka“ wystawiono już od dłuższego czasu szereg karykatur Ketlicz-Rayckiego, karykatur do- brych i bardzo ciekawych, a przedstawiają- cych na swój sposób pojęte fizjonomie zna- nych osobistości ze świata naszej literatury i sztuki. I dziwna rzecz, że dotąd nie zwró- cono na nie jeszcze należytej uwagi, że pra- wie zupełnie zostały pominięte w prasie. Na zachodzie, naprzykład w Paryżu, każda ka- rykatura takiego Sema, Caran d'Ache'a lub Guitry'ego, a przedstawiająca znaną i aktu- alną osobistość, jest niemal wypadkiem dnia i, gdy ukaże się na pocztówce, rozchwyty- wana jest w tysiącach egzemplarzy; w Ame- ryce każde szanujące się pismo zamieszcza stale jakąś karykaturę na naczelnem miej- scu; u nas tylko karykatura nie budzi jesz- cze takiego zainteresowania, a często nawet uważana jest jako paszkwil, niemal jako obelga.

Polega to na zasadniczym nieporozumie- niu lub słabem jeszcze zrozumieniu istoty ka- rykatury. Niekoniecznie bowiem celem ka- rykatury jest ośmieszenie kogoś przez po- tworne i bezsensowne wykoszlawienie jego kształtów. Zdarzają się wprawdzie i takie, a szczególnie w Ameryce w okresie wybo- rów, gdy chodzi tylko o ośmieszenie lub po- drażnienie znienawidzonego przeciwnika. Wtenczas to zaangażowani przez tę lub ową partję karykaturzyści nie zadają sobie wiele trudu. Stawiają poprostu fotografię danej po- staci przed wypukłym, wklęsłym lub płasko- wklęsłym zwierciadłem i przerysowują wszel- kie ukazujące się w niem możliwe i niemo- żliwe wykoszlawienia, polegające na splasz-

czeniu lub przedłużeniu członków. Taka ka- rykatura wprawdzie może śmieszyć, ale nie będzie ona podobna i żadnego też nie będzie miała sensu. Takich karykatur oczywiście nie można traktować poważnie. Są to figle, które wprawdzie mogą zirytować daną osobę, lecz pozbawione logiki, wewnętrznej spójni i sensu ze stanowiska estetycznego budzą tylko niesmak. Bo i pocóż wykoszlawiać ko- muś twarz i członki, gdy on w rzeczywisto- ści posiada je zupełnie normalne, i artysta nie dostrzegł w nich nic charakterystyczne- go, nic, coby w uproszczeniu przedstawiało nam istotną treść indywidualności danego modela.

Nie o takich też karykaturach chcę mó- wić, gdyż te pozostają poza nawiasem sztuki, jako nie posiadające zgoła żadnych pierwia- stków twórczych. Chodzi mi więc tylko o ka- rykaturę, która ma wszelkie znamiona wol- nej i twórczej sztuki, o karykaturę, którą Robert de la Lizeranne określił jako „cha- rakteryzowanie *à outrance*” Jak bowiem ko- medja w dziedzinie twórczości dramatycznej, jak dobra humoreska w literaturze, tak też i dobra karykatura jest w swoim rodzaju niemniej ważnym i dostojnym dziełem sztu- ki. Karykatura nieraz nawet więcej mówi niż portret; daje przecież samą tylko treść psy- chiczną w tych głównych rysach, które w da- nej fizjonomji i postaci najwięcej mogą in- teresować i które dla jej indywidualności naj- bardziej są znamienne. Intuicja i przenikli- wość artysty odgrywają tu większą jeszcze rolę, niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie sztuki, a przede wszystkim potrzebny jest ten specjalny talent, ażeby z mnóstwa szcze-

głów drugorzędnych, przypadkowych i obojętnych, wybrać jedynie konieczne, najważniejsze i w kilku kreskach lub znakach symbolicznych wyrazić najdokładniejszą podobiznę danej jednostki ze wszystkimi jej przyzwyczajeniami, śladami minionych przeżyć i żywotnych myśli, jednym słowem: by w sposób dowcipny i pomysłowy dać możliwie wyraźną w uproszczeniu charakterystykę danej indywidualności ludzkiej. Stąd też dwie fotografie lub nawet dwa przeciętne portrety dwóch różnych osób mogą być podobne i nie wykazywać zasadniczych różnic, natomiast dwie karykatury tych samych osób nigdy podobne nie będą, a ich różnice głęboko się nam utrwala w pamięci, bo karykaturzysta podkreśla te właśnie cechy charakterystyczne twarzy i postaci, które wyróżniają je z pośród wszelkich innych.

W historii sztuki, a nawet polityki i życia społecznego ma karykatura, podobnie jak satyra, swoją oddzielną kartę. Wszakże dopiero od czasów Goyi, Hogartha i Gavarniego stanęła ona na wyżynach sztuki, — tem mianowicie, że ciż artyści utrzymać się zdołali w granicach najnaturalniejszego przedstawienia kształtów rzeczywistych, że nie pozwolili sobie na przesadną szarżę.

Z systematów, jakimi posługiwała się karykatura wszystkich czasów i wszystkich ludów do osiągnięcia swoich celów, rozróżnić należy przede wszystkim dwa zasadnicze: analityczny i syntetyczny. Pierwszy z nich polega na tem, że artysta analizuje szczegółowo daną twarz lub postać, wyszukuje cech najbardziej charakterystycznych w częściach oddzielnych, bada wzajemny ich stosunek i proporcje, by potem wszystko, co na pierwszy rzut oka nawet wcale nie razi, lecz w jakikolwiek bądź sposób odbiega od idealnego pierwowzoru, jaki w swem poczuciu estetycznym wytworzył sobie artysta, — wszystkie te drobne zboczenia i wykrzywienia, wklęsłości i wypukłości odpowiednio przesadzić i podkreślić. Nie potrzeba chyba dodawać, że w przesadzie tej powinien być pewien artystyczny umiar i szeroko rozwinię-

te poczucie harmonji, w przeciwnym bowiem razie dana karykatura pozbawiona zostanie najważniejszego czynnika, stanowiącego proberz jej wartości: rzucającego się w oczy podobieństwa, i poprostu chybi celu. Najwybitniejszym dzisiaj karykaturzystą, posługującym się systemem analitycznym, jest skandynawczyk Olaf Gulbransson, współpracownik „Simplicissimusa“. Stwarza on w tej dziedzinie rzeczy wprost kapitalne, które w zdumienie wprawiają humorem, siłą wyrazu i narzucającem się podobieństwem. Oprócz niego, jako najwybitniejszych wymienić jeszcze należy wiedeńczyka, Karola Józefa i paryżanina Léandra; pozatem z pośród Niemców jeszcze Koeniga, Heinego, Blixa i Burkarda.

System drugi, syntetyczny, a polegający na błyskawicznym przenoszeniu na papier pierwszego wrażenia napotkanej twarzy lub sylwetki bez wnikania w szczegóły, a nawet z zupełnem ich pominięciem, wymaga już specjalnej intuicji i talentu. W przeciwieństwie do skandynawczyków i Niemców, którzy posługują się przeważnie systemem analitycznym, spotykamy system syntetyczny głównie u karykaturzystów francuskich i niektórych wybitniejszych polskich. Takiemu Caran d'Ache'owi, Guitremu, Semowi, wystarczy nieraz umieścić w kółku trzy, cztery kropki, kreskę i przecinek, a kółko takie już przypominać będzie głowę jakiejś znanej osobistości dobitniej i wyraźniej, niż najbardziej udane zdjęcie fotograficzne. W ten sam sposób postępują Sichulski i Wyczółkowski, którzy dzisiaj wysunęli się na czoło karykaturzystów polskich, tylko, że traktują oni poszczególne części twarzy lub całej postaci znacznie realniej od Francuzów, zbliżając się tem samem raczej ku trzeciemu, pośredniemu pomiędzy temi dwoma systemami, w którym chodzi o wydobycie syntezy z poprzednio dokonanej gruntownej analizy, o ujęcie wyrazu.

Ten system pośredni, którym też i Gulbransson dość często się posługuje, widzimy w całej pełni zastosowany w karykaturach



Z teki karykatur Kietlicz-Rayskiego: „Eskulap“.

Z TEKI KARYKATUR KETLICZ-RAYSKIEGO.



Adolf Nowaczyński.



Stanisław Barcewicz.



Jan Kasprowicz.



Tadeusz Korzon.

Kietlicz-Rayskiego: każda twarz, każda sylwetka jest sumiennie wystudjowana, a następnie dopiero w kilku pobieżnych rzutach uchwycony jest jej wyraz, to, co niejako jest zwierciadłem duszy i w czym streszcza się cała treść psychicznego życia danej jednostki.

Wyborną jest naprzykład karykatura A. N. Nowaczyńskiego, której główny akcent polega na satyrycznie zjadliwym wykrzywieniu ust. Zabawny jest Barcewicz, u którego nawet skrzypki i smyczek pojęte są w sposób karykaturalny, lecz przytem bardzo dowcipny. Kwadratowa niemal sylwetka Korzona, przypomina poniekąd doskonałą karykaturę Ibse-na, wykonaną przez Gulbranssona. Z wielce charakterystycznym zacięciem rzuconą jest na papier karykatura Kaźmierza Tetmajera, bardzo zbliżona do trupiej czaszki. Pozatem z galerji typów Rayskiego, wystawionych obecnie w salonie artystycznym „Sztuka“ wymienić jeszcze należy karykatury Władysława Orkana, W. Rapackiego, Jana Kasprowicza, Osterwy i Żeromskiego, którego głowa z rozwichrzoną czupryną jest więcej portretem charakterystycznym, niż karykaturą. Wogóle karykatury Kietlicz-Rayskiego mniej są złośliwe, niż naprzykład Sichulskiego i mniej głęboko w swej charakterystyce, aż do korzeni duszy sięgające, niż karykatury i portrety Stanisława Lenca, — cechuje je humor więcej pogodny, polegający raczej na podkreślaniu zewnętrznie objawiających się drobnych śmieszności i rysów charakterystycznych. Niemniej przeto

są to karykatury niezwykle interesujące, zawsze zabawne i dowcipne, tworzone z należytym umiarem artystycznym, przez szczerogo i oryginalnego artystę. *Fetiks Lubierzynski.*

Vincente Blasco Ibañez.

Wyobraźmy sobie Balzaka, pozbawionego nadmiernych rozwlekłości i geniuszu, Mérimée'go garnącego się do naturalistów, Zolę, przedzierzgniętego w romantyka, Reymonta w stroju torreadora, a otrzymamy mniej więcej dokładny wizerunek literacki najpopularniejszego w dzisiejszych czasach — poza granicami Hiszpanii — powieściopisarza hiszpańskiego, Blasco Ibaneza. Pisarz wielkiej rasy; samouk, któryIGNĄ do obcych haseł, stara się zrazu wyzwolić od wszystkich wielkich tradycji literatury ojczystej; trochę karjerowicz, trochę megaloman, łakomy poklasku i oddający nazbyt często swe pióro na usługi koterji politycznych i interesów partyjnych; stylistą średniej miary: ale przytem wszystkim talent niepospolity, bujna natura południowca, miłującego życie we wszystkich jego przejawach i organizacja nader ciekawa, z którą warto bliżej się zapoznać.

Vincente Blasco Ibanez (ur. w r. 1867) rozpoczął swą działalność literacką lat temu dwadzieścia kilka, ogłaszając drukiem tom nowel obyczajowych, p. t. *Cuentos Valencianos*, osnutych na tle życia rodzinnej jego ziemi, Walencji. Był to czas, kiedy w literaturze hiszpańskiej panował ogólny zwrot ku naturalizmowi, pod wpływem Zoli i Maupassant'a. Blasco Ibanez, hołdując świeżym jeszcze naówczas hasłom, nie był bynajmniej w swym kraju odkrywcą nowych światów: wyprzedzili go już byli tutaj o lat parę: Perez Galdós i Emilia Pardo Bazan. Ale podczas gdy ci ostatni do dnia

KAMIENICA.

Dom, w którym dwie setki osób, wzajemnie sobie nieznanych dusi się, kocha, nienawidzi, znać się nie chce. Spotykają się na schodach, lecz odwracają od siebie ze wstrętem. Na strychu i w suterynie chorują ludzie na zakłócone bolesne choroby biedaków, darmo wyglądając lekarza, który zresztą i tak ich nie uleczy, podczas gdy paradnemi schodami już drugi raz dzisiaj spieszy weterynarz do mopsa bogatej wdowy z pierwszego piętra. Biedna psina, z przejedzenia zapadła na zdrowiu niebezpiecznie. Pani z białemi rękoma zamierzyła właśnie zagrać „Pieśń bez słów“ Mendelssohna, ale w tej samej chwili rozlega się wrzask harmonijki ustnej. Parobek z suteryny, chłop oderwany od roli i dzwignający po nocach worki z mąką w piekarni — przypomniał sobie wieś i gra obertasa. Druga pani otwiera okno, by odetchnąć świeżem powietrzem i bije ją w nos subtelny — zapach łożu, na którym straganiarka smaży mięsiwo. Młodsza od mecenasa trzepie dywany z taką zaciekłością, że obudziła dziewczynę chorą na anemję, drzemającą wśród dnia z wyczerpania. Policzki białe i przejryste, jak opłatki, dzwigają się z poduszek i chore oczy patrzą z przedwczesną, cichą rezygnacją. Na podwórzu przy-

szła para grąjków. On gra, ona śpiewa, lecz maszyna krawca furkocze wciąż zaciekłe: niema czasu na poezję! Potem zjawia się gramofon, szklarz, kościarka, człowiek z ptaszkami, które wróżą, żebiak z litanją. Każdy chce być w kamienicy panem, nienawidzi sąsiada, który mu zasiadł pod bokiem i nie chce się ograniczać. Pańskie piętra zażywają dóbr ziemskich w roju mikrobow, produkowanych przez mniej zasobne suteryny. Pewnego dnia poczyna rość przed oknami — o kilka metrów pionowa ściana oficyny-drapacza, która kilkuset osobom umniejszą porcję słońca i zdrowia. Nikt nie protestuje, nie chcąc narażać się na śmieszność.

Ach, te biedne podwórza kamieniczne — tak ubogie i smutne w gorące dni lata! Biały motyl zakotłował się nad kamieniami i pada na bruk. Leży nieruchomo, z rozwartemi skrzydłami. Małe dziecię siadło na schodkach ocieżale. Kury żerują. Kogut zbliża się do motyla. Dziobnął go. Wtedy motyl zrywa się, podfruwa, pada znów bezsilnie. Kogut patrzy, jak on się trzepocze, stoi niezdecydowany, rozkłada skrzydła, bije się niemi po bokach. Potem odchodzi obojętnie, chyli dziób, poczyna znowu żerować.

Na ciemnej skrzyni, otwierającej brudną paszczę, dokąd rzucają śmieci, leżą lupiny z ogórka... Jedyna zielen podwórkowa...

Leon Choromański.

dzisiejszego wytrwali na raz obranem stanowisku, twórczość naszego autora miała uleść silnym przekształceniom. W istocie, Blasco Ibanez, nieodrodny syn swej rasy, podobnie jak w innej dziedzinie Echegaray, którego również musnęły wpływy obce jego naturze, jest urodzonym romantykiem. Naturalizm był dla niego szkołą, z której wyszedł obronną ręką, nauczywszy się w niej metody i obserwacji, aby wyładować z siebie później to, co stanowiło istotny podkład jego talentu. *Flor de Mayo* (1896, *Kwiat majowy*) i *Entre naranjos* (1900, *Wśród pomarańczy*), najlepsze z pośród powieści powstałych w owym okresie, pełne napięcia dramatycznego i kolorytu, noszą jeszcze na sobie wyraźne piętno wpływów francuskich, choć za tło posłużyło autorowi życie południowych prowincji Hiszpanii.

Ale już *La Barraca* (*Rudera*), która po raz pierwszy uczyniła imię autora sławnym w całej Europie, a bardziej może jeszcze w Ameryce, zwiastuje wyzwolenie. Ta ostatnia powieść, przetłomaczona na większość języków cywilizowanych, rychło została okrzyknięta jako arcydzieło. W tak entuzjastycznej ocenie tkwiła niewątpliwie pomyłka, łatwa zresztą do zrozumienia: to, co było tylko mniej więcej wiernym opisem obyczajów i krajobrazów najbardziej malowniczego kraju Europy, brano za wytwór fantazji twórczej i cudzoziemcy, złowieni na lep egzotyzy, nie zauważyli, iż Hiszpania, ubrana w jaskrawe świecełki, była równie niemal konwencjonalna u Blasco Ibaneza, jak u Mérimée'go — Korsyka ze swą *vendetta*. Autor, zwiedziony umiłowa-

waniem szczegółu, cofa się i zamyka oczy za każdym razem, gdy otwierają się przed nim szersze horyzonty: skrzętny obserwator staje się niezdolnym do syntezy i brak jego dziełu owego wielkiego technienia, które z powieści czyni epopeję.

Jest jednak inna strona w *Rudersze*, która stawia tę powieść na linii wielkiej tradycji literackiej, czerpiącej źródło u samych początków twórczości narodowej Hiszpanii. Mamy na myśli fatalizm, wiarę w nieublagane przeznaczenie, które ciąży nad losami człowieka od kolebki aż do śmierci. Jest to w powieści Blasco Ibaneza cecha tem cenniejsza, że nie została mu narzucona przez żadną szkołę, lecz wypływa wprost, prawie wbrew jego woli, z wewnętrznej istoty autora. Nie mamy tu bowiem do czynienia z ową dziedziczością chorób i fizycznych przywarów, na której Zola osnuł swoich *Rougon-Macquarłów*. U autora hiszpańskiego — nie winy ojców przechodzą na synów, ale nieszczęścia, od woli losu jedynie zależne, które zawisły nad rodem, idą dalej przez pokolenia. Człowiek staje się tu podobny kwiatom, którym w jednym klimacie tylko wolno rosnąć, a które na grunt obcy przeniesione, więdną i zasycha-

ją. Przeznaczenie jego czai się w oparach unoszących się ponad ziemią, w niebie rozpostartem, jak namiot tragiczny, nad głowami bezdomnych.

Blasco Ibanez snadź nie chce sam zdawać sobie sprawy z tych wierzeń, które może wraz ze spuścizną krwi na świat przyniósł: często kroć całą siłą refleksji broni się przeciw owe-
mu fatalizmowi Araba i głębokiemu poszanowaniu rasy, które mu jest wrodzone. Ale napró-
żno: w najlepszych chwilach twórczych potrze-
ba wypowiedzenia się i gorący temperament sta-
ją się silniejsze od wszelkich przesłanek rozu-
mu i wówczas przez jego usta przemawia już
tylko potomek Maurów i artysta niepośledniej
miary. Oto tajemnica tego braku jednolitości,
który często daje się zauważyć zwłaszcza
w ostatnich jego powieściach. Jako działacz spo-
łeczny, gorący polemista, republikanin i de-
putowany socjalistów, Blasco Ibanez pisze sze-
reg powieści tendencyjnych, w



Vicente Blasco Ibanez.

których głosi swe teorie polityczne i broni ideałów partyjnych: *La Catedral* (1903), *El Intruso* (1904), *La Bodega* (*Piwnica*, 1905). Wszystkie te utwory, choć zawierają sporo barwnych opisów i scen istotnie silnych, jako dzieła czystej sztuki nie zasługują na bliższą uwagę. Stokroć ciekawsze są natomiast trzy najświeższe utwory: *Sangre y arena* (*Krwawe piaski*), dzieło pełne kolorytu, osnute na tle życia torreadorów; *Luna Benamor*, opowieść zaczerpnięta ze stosunków w Gibraltarze, a wysuwająca na plan pierwszy owo zagadnienie rasy, które tak nieodstępnie zdaje się dręczyć naszego autora ostatnimi czasy; wreszcie, *Los muertos mandan* (*Umarli nakazują*),

najbardziej zapewne skończone i najbarwniejsze dzieło Ibaneza. Ta ostatnia zwłaszcza powieść jest w twórczości naszego autora objawem nader znamienym.

Umarli nakazują: wola naszych przodków, spoczywających w ziemi, ciąży nad nami nieodłącznie i nie pozwala nam ani na krok odstępować od przeznaczonej nam drogi. Takie jest, na pierwszy rzut oka, założenie dzieła a także i rozwiązanie, do którego autor zdaje się zmierzać. Ale w ostatnim rozdziale czeka nas niespodzianka; rzeczy kończą się naprzekór wszelkim logicznym obliczeniom i oto konkluzja: „Nie, umarli nie nakazują; rządzi nami tylko życie, a życiem — miłość.“

Te są ostatnie słowa książki. Odpowiedź to niewątpliwie jasna, pocieszająca i pogodna. Ale czyżby takie miało być ostateczne, nieodwołalne, wyznaczenie wiary autora? Czyżby tak odczuwać mieli życie ci, którzy zawsze „krew, miłość i śmierć“ jednąką czią otaczali? Blasco Ibanez milczy od lat paru. Przekonamy się rychło, jakie rozwiązanie najbliższe dzieło nam przyniesie.

Zdzisław Milner.

Echa „Złotego Rogu”.

Trudne nad wyraz zadano mi pensum, prosząc o napisanie wam, na tem miejscu interesującego feljetoniku, gdyż to podczas obecnej już pory nie jest łatwe!

Feljetonista bowiem nie pisze przecież wstępnego artykułu, nakrochmalonego urzędowo kapłańskim stylem, który stanowi „pièce de resistance“ w numerze tygodnika, czy dziennika, jak pieczyście, czy zrazy w obiadowym jadłospisie, a który każdy obowiązkowo przelknąć musi, ale on podaje wam raczej na „Entre mets“ jakiś bigos hultajski z różnych resztek kuchni dziennikarskiej, zwany lekką siekanką, odegrzaną ze wspomnień tygodniowych, a jeno dla smaku papryką dowcipu pieprzonego przyprawioną.

Feljetonista jednak, który ślizgać się może, bezkarnie po powierzchni zdradliwych nurtów społecznego życia i nadużycia, i niby hydroaeroplan swobodny ponad morską szybujący tonią, zawsze poderwać się może z tych przepaści i odmetów i poszybować wesoło gdzieś w zawrotne wyżyny społecznych ideałów i pożądań, sam jednak zawsze nad sobą czuwać winien, by nie nadużyć tego szczytnego przywileju narodowego conzora, gdyż „Noblesse oblige“ zawsze i wszędzie, a tymbardziej zaś w tej popieranej zwadami i niedomaganiemi walce, którą on swem ostrem kole piórem. Występuje on zwykle bowiem pod pseudonimu zamkniętą przyłbicą i może zawsze wyslizgnąć się z przykrych sytuacji, niby piskorz z sieci — udając wesołka a nie championa, w tym papierowym turnieju pokazując i publice nos w chwili największego patosu!!!

Ale choćby nawet wszystkimi przymiotami stylu i sprytu dziennikarskiego obdarzyła kogoś z nas na gwiazdkę, nieśmiertelna dowcipu muza, to i tak nie zajmie on niczem publiczności, gdyż „Nec Hercules contra plures“ przy obecnym wyjazdowym z Warszawy nastroju!

Wszak teraz ci to każdy, co zamożniejszy burżuj przeżywa porę ogórkowej kanikuły, spieszy na wieś, czy do „badów“ by uniknąć choć trochę rozpalonych miejskich murów! — Trudno więc zając poważniejszą jakąś sprawą takiego pasażera pospiesznego pociągu, który ma już bilet w kieszeni, rzeczy na bagażu, i ziewa, oczekując jeno na trzeci dzwonek. Kupuje więc on na drogę, jedynie jakieś humorystyczne piśmo, lub, co najwyżej, pornograficzny romans!!!

Nieszczęśliwy więc kronikarz nawracając do spraw codziennych a wesołych, wspomnieć wam musi z racji swego obowiązku, że „Ewa“ w „Nowościach“ dobiegła już „pięćdziesiątki“, nie ujmując przytem wdzięku pannie Messalównie, chroniącej tam swą cnotę dziewczęzą nawet w szklanej hucie, gdzie wszystko tak łatwo się tłucze; święci więc pozbawiona oryginalnych motywów Ewa już swój sceniczny jubileusz, podczas gdy wielka opera nasza stale w sezonie świeci pustkami, a nawet troszkę poważniejszego pokroju koncerty w Szwajcarskiej Dolinie,

stały przynoszą Filharmonji Warszawskiej deficyt!

Nie dzieje się zaś to bynajmniej wskutek jakiegos bojkotu Birnbauma, ale jak słusznie wykazano na zebraniu u łyżwiarzy — przez zupełny brak w Warszawie wytworniejszego muzycznego zmysłu.

Dopóki więc „Dolina“ była jedynym terenem, gdzie można było za niedrogie pieniądze spotkać się z cudzą żoną, i pójść do gabinetu z jeszcze lżejszego pokroju ziemskim aniołem — podobno święciła ona swe pozorne tryumfy. Dzisiaj gdy już jest tyle kabaretów i kinemo-skingów — „Vallée Suisse“ na psy schodzi!

Nie możemy pominąć też tutaj i ostatniego świetnego rekordu, jaki osiągnął lotnik francuzki p. Marcell Brindejonc des Moulinais, przyfrunawszy, w 14 godzin z Paryża do Warszawy, — ale pomimo to, nie zdołał on jej jednak wystrychnąć na „Dudka“, który codziennie napędza jeszcze kasę w „Nowym“, gdyż nie chciano mu zapłacić pięciu tysięcy rubli, które żądał. Miłość bowiem miłością, a interes interesem, więc i młody francuzik nakomplementowawszy się z warszawskimi sportsmenami w Brystolu, zacenił jednak aż pięć tysięcy rubli za demonstrację swych wzlotów które przecie każdy darmo obejrzeć może, na tak długim dystansie, jak Paryż — Berlin — Petersburg — Moskwa. Należałoby go jednak odpowiednio ogrodzić, by nie pozwolić się gapić gratisowej publice, która czyni to u nas na Mokotowie, spacerując podczas wzlotów w okolicy toru wyścigowego. Wyżej wymienione inne jeszcze sensacje, które, choć trochę, zajmują jeszcze warszawiaka „w odlocie“, nie pozwalają mu też z całym ducha skupieniem napawać się przecudnym zapachem „Lilii“, w których ze swojskiej legendy wysnuł już Mickiewicz swą przepiękną balladę, a teraz hr. Morsztyn dał baśń owianą technieniem własnej indywidualności, na temat piosnki:

„Zbrodnia to niesłychana,
Pani zabija Pana“.

Na tle więc balladowo-historycznym, chwili powrotu rycerzy Bolesława Śmiałego z wyprawy kijowskiej i rozprawy z niewiernymi żonami, opuszczonemi przez całe lat siedem, odzywają się tam echa zatargów pomiędzy królem a biskupem Szczepanowskim i słychać jeszcze kolizje wierzeń dawnych pogańskich i nieugruntowanych jeszcze — chrześcijańskich. Na tem więc ekranie ponurym w cieniu zbrodni mężobójstwa, rysuje się chmurolotna — oderwana od ziemi postać „Pana“ rycerza — który, sięgając wysoko, osobiste traci szczęście.

Niestety, warszawiak nasz, wychowany na „Dudkach“, „Dobrze skrojonych frakach“ i tym podobnych farsach nie może wysiedzieć w poważnym nastroju na tym, na miarę Wyspiańskiego skrojonym dramacie przez całe aż cztery obowiązkowe akty.

I co chwila spogląda na zegarek, czy prędko już to wszystko się nareszcie skończy.

Wystawa Kijowska.

I któżby więc nawet miał śmiałość, takiemu profanowi zawracać na głowie (wedle najświeższej, warszawskiej, nie utwierdzonej przez akademię krakowską stylistyki) jakimś tam, nie prędko jeszcze oczekiwanym, a kalekim na wszystkie cztery nogi samorządem, który posłowie nasi wyratują jeszcze od ostatecznego zdemontowania kto wreszcie będzie miał cierpliwość słuchać wyliczania tych gmin w ziemi plockiej, które, za wdowie grosze rozszerzają powszechne nauczanie,—podczas gdy gród syreni myśli o rozszerzeniu totalizatora.

Po co więc też takiemu wesołemu pasażerowi psuć przyjemny jego nastrój, o smutnym losie szwaczek, w martwym sezonie puszczańskich całkowicie „na trawę“, na której, wprawdzie, łatwo jest zagubić paniński wianuszek, trudno się jednak nią nakarmić, gdyż od czasu ś.p. biblijnego króla Nabuchodonozora całkiem to już wyszło ze zwyczaju.

Świst lokomotywy zagłusza wyjeżdżającym nawet i trzask brauningów, z których elegancy bandyci „przypadkowo“ strzelają do spokojnych przechodniów, podczas gdy ktoś, obowiązyany ich chwytac, kontroluje tymczasem ryszutki, w oczekiwaniu parostaku z opryszkami sygnalizowanego już od wczoraj.

Przecie nawet i taki pan co sam zostaje się w mieście, żonę odprowadzając na lotnisko, ma na głowie podwójny kłopot, bo musi myśleć nie tylko o zaprowadzeniu legalnej rodziny w jakimś „badzie“ czy swojskim „Wyzyskowie“, w odpowiednią flotę, ale pamięta dobrze jeszcze i o tem, że i Zuzia z czwartaka, także potrzebuje nowego kapelusza, którego dotąd jej jeszcze nie sprawił, ze względu jednak na możliwy w kamienicy alarm. Obecnie zaś kiedy już lokatorzy z pierwszego i trzeciego są na świeżym lufcie, nikt nie będzie kontrolował dwójprzymierza, zawartego między drugim piętrem a czwartakiem na czas ogórkowej paszy, nie tak znów bardzo smutnej i dla tych pozostałych w domu nieszczęślików!

Nie pozostaje przeto nic lepszego do czytania i biednemu feljetoniście, któryby wybrał się teraz z morałami społecznymi do czytelników, jak pies do rozbawionej kregielni, jeno zabierać pod pachę nudny swój społeczny bagaż i umykać chyłkiem jak katarzyniarz, wypędzony przez stróża z eleganckiego podwórka, zachowując jego rozpakowanie aż do jesiennej, chłodniejszej pory. Teraz zaś na waletę pije do was strzeżennego z tem pobożnym życzeniem, abyście wypoczęci i pokrzepieni na duchu i ciele z letnich powróciwszy wyweczasów — choć troszeczkę głębszej uwagi poświęcili i ogólnej użyteczności sprawom

A gric'ola.



Godzina pierwsza. Barwny tłum ciągnie w stronę ulicy Wasylkowskiej — pędzą powozy i dorożki — ruch jak na Kijów niebywały! Oficjalne mundury migają w promieniach słońca, czarne fraki rzucają ciemne plamy na pstre stroje dam. Niestety szyku i tego cachet zachodniego nie widać zupełnie, jak również zainteresowania głębszego. Dopiero po uroczystem nabożeństwie, odprawionem przez arcybiskopa Flavjusza w asystencji potentatów kleru — po przecięciu wstęgi i niezbędnych toastach na cześć Komitetu Wystawy etc. — tłum ożywia się, faluje — uroczyste skupienie z reflekssem, nudy na twarzach — taje, ustępując miejsca swobodnej wesołości i zaciekawieniu. Prezes Komitetu Wystawy hr. Aleksander Tyszkiewicz, dusza tej całej imprezy robi honory domu — towarzyszą mu: honorowy prezes ks. Kurokin, generał-gubernator Trepow z małżonką (która dokonała rozcięcia wstęgi) oraz ciało administracyjne, wojskowe, konsulowie i wiele innych miejscowych i prejezdnych gości na uroczystość otwarcia wystawy.

Ministrowie nie dopisali, nadsyłając depesze — zawód dla publiczności, która uważała ich przyjazd za „gwóźdz“ tego święta. O godzinie trzeciej po południu — wystawa otwarta zostaje dla ogółu — ale tłoku niema — zainteresowanie jeszcze słabe — przyczyna tego w tem, że właściwie otwarcie nastąpiło zawczasie, roboty w pełnym biegu, brak wszelkiej komunikacji na terenie wystawowym, nogi grzęzną w piasku, potracają o deski, cegły i kamienie — pawilony puste — „in statu nascendi“... Za to zewnątrz — wystawa przedstawia się bardzo interesująco. Komitet, chcąc przypomnieć ogółowi wojnę r. 1812 i wielkość „nieśmiertelnego korysykanina postanowił obdarzyć miasto pawilonami w stylu empire, jako tym, który zrodził się z klasycyzmu i motywów egipskich — pamiątki po wycieczce Bonapartego do Afryki.

I oto już u samego wejścia czeka na nas brama — portyk o cudnych linjach kolumn romańskich; przeszedłszy przez nią — mile pieszczone oko dostrzega po obu stronach szerokiego placu dwa rzędy tych samych kolumn ujmujących stoki wzgórz w śnieżyste półkole. Na wprost wejścia trzy kondynacje schodów wiodą na tarasy, na ostatnim góruje w całym swym majestacie „cesarstwa“ biały pawilon Ziemstwa oszpecony zieloną czapką — vel dachem. Wzgórza strojne w zieleń ciągną się na esplanadzie byłej fortecy — widok wysoce malowniczy — przywodzi na pamięć reminiscencje Forum i architektury romańskiej.

Wszystkie pawilony komitetowe utrzymane w tymże stylu — dużo też prywatnych starało się dostroić do tego tonu — nie brak jednak i innych motywów. Oto gra w słońcu kopuła szklanego pawilonu, suto wyzłocona, dalej znów przysiadł baniasty, utrzymany w stylu staro-moskiewskim z czasów W. Księstwa — pawilon Podolskiego Towarzystwa Rolniczego. Dlaczego właśnie ono

wybrało sobie przypomnienie Kremla? Pytanie otwarte. Idziemy dalej: w skale wykute grotty — tam goszczą „Wina Kaukaskie“, połyskują czarne djamenty — z węgla misternie wzniesiony pawilon — firmy węglowej Huszczo-Łosiński! Tam znowu „Ursus“ — puszcza w ruch swój potężny motor — o parę kroków dalej czernią się potworne kształty traktorów i lokomobil. Ale i na tem koniec, gdyż poza narzędziami rolniczemi i maszynami nie ma nic w pawilonach. Nawet „Kolo śmiechu“ — obiecujące atrakcje w rodzaju ujrzenia własnej osoby na suficie lub do góry nogami — nie funkcjonuje. Jedna tylko w pełnym rynsztunku stanęła do apelu — to restauracja, sławna z wysmienitej kuchni Henryka Lanciego zgromadziła zgłodniałych na tarasie i obiecuje im koncert z szansonetkami. Bez tych bowiem, Kijów nie pojmuje przyjemności!

Na środku placu wznosi się symboliczny pomnik: genjusz wieńczący Przemysł — było z nim kłopotu niemało, ale ostatecznie całość dość gustowna — dalej: fontaine lumiense i basen z wodą — chwilowo nieobecną i cztery orkiestry.

W tempie walca drapiemy się pieszo na wzgórze lub schodzimy przez wspomniane schody — marząc o obiecany ruchomym chodniku, kolejce, pod którą układają się czyny — no i o... eksponatach o których możnaby coś napisać. Na jednym z pawilonów czytamy zapowiedź działu księgarskiego na drugim drobnego przemysłu,

posuwając się dalej — spotykamy kioski gospodarzów nasiennych, cukiernię tymczasem szczelnie zamkniętą, pawilon rybołówstwa, leśnictwa, gospodarstwa rolnego, wreszcie w dole — kolejowy z wagonami, lokomotywami etc. Ma się wrażenie, że oto pociąg zajeżdża i czeka. Opodal istotnie wyładowują z czynnych wagonów eksponaty, przeważnie jeszcze wciąż maszyny i narzędzia. W pierwszym dniu sprzedano biletów wejściowych 520 — nie licząc zaproszonych, korzystających z bezpłatnego wejścia na uroczystość otwarcia wystawy, a których rozesłano około pięciu tysięcy.

Reasumując dotychczasowe wrażenia — śmiało wróżyć można, że plac wystawy będzie uprzywilejowanym miejscem spacerów wieczornych, gdyż oświetlenie jest wprost czarodziejskie. Drobne światelka biegną wzdłuż kolumn, wieńczą fasady i architektoniczne linie pawilonów, płyną wznwyż ku tarasom górnym — odcinają się falą świetlaną na tle zieleni, rozsypując w dziesiątki gwiazd — lamp łukowych, przenosząc widza w świat baśni i fantastycznych miraży. To też już w drugim dniu wystawy zauważyć się dała znacznie większa frekwencja — zwłaszcza w godzinach wieczornych.

O wartości zaś wystawy, jako zbiorowego wyrazu przemysłu i kultury — powiedzieć coś można będzie dopiero za parę tygodni, gdy puste budynki zatętnią życiem i przemówią treścią.

Kijowianin.



Teatr Mały. — „Zdobycie Berg-op-Zoomu“. Sacha Guitry jest gentlemanem w najlepszym stylu. Unika przesady i krańcowości w ubraniu, w wyborze kravat, we wszystkim, ba! nawet w estetycznych upodobaniach i ideałach. Sacha Guitry zawsze ma na ustach dowcip, którego nikt nie może nazwać zdawkowym, choć nie jest on zbyt oryginalny. I wszystko, co opowiedział Sacha Guitry, salonowiec w każdym calu, co opowiedział przez dialogi w swej komedji p. t. „Zdobycie Rip-op-Zoomu“ — sprawia taką samą rozkosz estetyczną, jak nieco pieprzny, lecz nigdy nie przekraczający granic przyzwoitości i dobrego smaku dowcip, krążący z ust do ust, w bardzo wytwornym towarzystwie. Ów „dobry smak“ nie pozwolił u-

kryć się w błocie pospolitości sztuce Guitrego, którą gra obecni teatr Mały, sztuce opartej na zbanalizowanym i ograny tematzie zdrady małżeńskiej, stanowiącym nieodzowny rekwizyt każdego teatru. W „Zdobyciu Berg-op-Zoomu“ jest wszystko, czego żadna wrażeń znudzona dusza inteligentnego widza zapragnie. Iskrzy się błyskotliwymi paradoksami, w guście lorda Oskara Wilde'a, mieni się różnorodnością, świetnie podrabianych motywów „psychologicznych“, kusi napiętą struną erotyzmu, zdumiewa jaskrawością dowcipu i... bawi! — nadewszystko bawi, gdyż poto została napisana.

Artyści w tej sztuce o pogmatwanych rodzajach, nad podziw stworzyli świetny zespół. Pan Orliński dał wytworną, aż nazbyt wytworną sylwetkę komisarza policji, p. Szarski jąkał się tak sprawnie, jakby nic innego przez całe życie nie robił.

Tylko p. Rатовski był bladej, niemrawy, źle ucharekteryzo-

wany i zniechęcony widocznie do całego obłożenia „Berg-op-Zoomu“.

J. A.



Zwycięski Ikar.

Gdy przed stu kilkudziesięciu laty Montgolfier zapowiedział wzlot balonu, napełnionego gorącym powietrzem, publiczność bardzo sceptycznie przyjęła tę wiadomość. Dziś wzlot kulistego balonu należy do... małomiej-skich niemal rozrywek.

Mechaniczny ptak szybuje obecnie na zawrotnych wysokościach, z szybkością niewymierną z dotychczasową lokomocją. Znika odległość, znikają granice państwowe i geograficzne.

W ubiegły wtorek spadł na lotnisko na Mokotowie ptak monoplanu, w którym przyleciał młody lotnik francuski Brindjone de Moulinars.

W ciągu jednego dnia z dwoma krótkimi przestankami w Wannie i Berlinie przebył lotnik olbrzymią przestrzeń 1320 kilom. Niebawo do dotychczas rekord lotu na odległość, imponująca zaś jest siła fizyczna człowieka i jego zmysł orjentacyjny, pozwalający mu na tak ryzykowne przedsięwzięcie.

Przymowany entuzjastycznie w Warszawie, lotnik wyleciał w niedzielę w stronę Petersburga, chcąc również w jednym dniu tam dotrzeć, warunki atmosferyczne jednak zmusiły go do wstrzymania się w Dynaburgu.

WILHELM REX.

Rede-Reise-Kaisermann obchodził w ubiegłym tygodniu ówczesne wiecze swych rządów. Hołdy, parady, mowy, fundacje i... morze wypitego piwa, zaznaczyły w Niemczech ten wysoce uroczysty dzień.

My ze swej strony również przyłączamy się do ogólnego hymnu uwielbienia i przypominamy czytelnikom naszym parę drobnych skądinąd faktów; drobnych w pojęciu Kaisera, pamiętnych jednak dla nas: założenie komisji kolonizacyjnej, fundacja „akademii“ w Poznaniu, mowa malborska, sprawa wrzesińska, wywłaszczenie...

Są to jednak drobnostki, ktoromi Wilhelm Rex chełpić się nie lubi.

SPROSTOWANIE.

W zamieszczonym w numerze 24 „Złotego Rogu“ wierszu p. Zdziśława Milnera, zasły dwie ważniejsze pomyłki, które na niniejszem miejscu prostujemy: 1) cytata z Villona powinna brzmieć: „...Mais ou sont les neiges d'antan? 2) w pierwszym wierszu „Postania“ powinno być: „Księżniczki piękne nie *smartwychwstań*“... zaś w trzecim — ...ale *przypomnę* wam *pogrzebane*, zamiast mylnie wydrukowanych: *smartwychwstań* i *przypomną*.



Policjant w spódnicy.

Amerykanie miewają pomysły, o jakich się europejczykom nie śniło.

Utrzymanie porządku na ruchliwej ulicy należy do najtrudniejszych zadań policyjnych i nie każdy mężczyzna umie mu podołać. Zdawałoby się zatem, że posterunek policyjny na ulicy nigdy nie będzie zajęty przez kobiety, yankesi jednak zrobili próbę, która wypadła niespodziewanie dobrze.

W Los Angeles w Kalifornji zaliczono do brygady czynnej policji mrs. Alice Stebbins Wells, powierzając jej dozór nad ruchem ulicznym. Władza uważa ją za jednego z najdzielniejszych funkcjonariuszy.

A zatem otwiera się przed kobietami nowe pole pracy, niestety, nie u nas.

Nasi przechodnie i woźnice nie dorośli jeszcze do posłuszeństwa policjantowi w spódnicy.

Miecz i dyplomacja.

Chmury nad Bałkanami. — Zatarg serbsko-bułgarski. — Wojna bałkańska w cyfrach. — Jad nienawiści. — Morderstwo Szewketa-paszy.

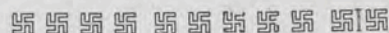
Nad Bałkanami znów się zachmurzyło. Bodaj czy burza teraz grożąca nie będzie dla państw bałkańskich gorszą, niż była wojna z Turcją. Znawcy stosunków miejscowych zapewniają, że w Bułgarji nienawiść do Serbów i Greków wzmogła się do niebywałego stopnia; — silniejszą niż była kiedykolwiek, silniejszą niż ta, jaka przed wojną i podczas wojny objawiała się względem Turków.

Przyczynę tej nienawiści zrozumieć łatwo. Gdy zamierzano stoczyć wojnę decydującą z potęgą ottomańską i gdy w tym celu tworzone związki państw bałkańskich, wiadomo było, że Bułgarja, choćby tylko z racji swego położenia geograficznego najcięższe na siebie przyjmuje zadanie? Ułożono się więc z góry, co komu po zwycięskiej wojnie przypadnie.

Serbja, czy to nie bardzo wierząc w zwycięstwo, czy też z innych przyczyn, nie stawiała przy układach żadnych trudności i zgodziła się, że Macedonia, bez względu na to, przez



Znany i ceniony u nas, dyrektor Bronisław Szulc, obecnie się cieszy ogromnym powodzeniem w Rostowie n/D. Miejscowa krytyka wyraża się bardzo pochlebnie o naszym kapelmistrzu, widząc w nim pierwszorzędną siłę artystyczną, o wybitnej muzykalności i talencie.



czas, że Austrii przyjdzie ochota tworzyć niezależną Albanję, której terytorja w owym układzie przypaść miały Serbji.

Na uzasadnieniu etnograficznem pretensji do Macedonji nikomu nie zależy. Kraj ten zamieszkuje bułgarzy, serbowie, grecy, albańczycy, rumuni, żydzi — a wszyscy tak są zmieszani, z tak blizka ocierają się jedni o drugich, że o jakimkolwiek rozgraniczeniu mowy być nie może. Pretensje do Macedonji, na tej oparte podstawie, jednakowo uzasadnione są zarówno po stronie Serbji, jak i Bułgarji. Ale przed wojną ułożono się co do tego; układ spisano. Bułgarja żąda dotrzymania tego układu. A żądania swoje nie tylko spisana, na papierze umową popiera. Ma także inne argumenty. Nie można powiedzieć, żeby były bezpodstawne.

Prawdą jest, że Macedonję zajęły wojska serbskie, nie zaś bułgarskie. Ale serbowie nie byliby zajęli Macedonji, gdyby bułgarzy nie byli wypierali wszystkimi swemi siłami Turków z Europy. Starcia serbów z Turkami, tak samo jak i greków, były istną zabawką w porównaniu z krwawymi bojami, jakie staczać musiała Bułgarja.

Dowodem tego cyfry: Bułgarja wyprowadziła w pole 450000 żołnierzy, Serbja 420,000; różnica niewielka. Po stronie bułgarskiej poległo przeszło 40,000 ludzi, serbowie nawet połowy

czyje wojska zostanie zajęta, przypadnie Bułgarji. Coprawda — nie przewidywano wówczas nie tracili. Bułgarja ma obecnie 45,000 inwalidów, Serbja wykazuje tylko 20,000 ludzi niezdolnych do pracy, skutkiem ran w wojnie poniesionych. Bułgarję kosztowała wojna półtora miljarda franków, Serbję niecałą połowę tego. A rezultat w postaci zajęcia terytorjów: Bułgarja zajęła w czasie wojny około 50,000 kilometrów kwadratowych, Serbja 60,000, a Grecja 30,000, chociaż ta ostatnia miała tylko 150,000 żołnierzy a straciła w zabitych i rannych 6,000.

Nie bez słuszności twierdzą bułgarzy, że Serbja i Grecja swe powodzenie w wojnie ostatniej zawdzięczają tylko bohaterskiej odwadze wojsk bułgarskich.

Serbja nie chce tego uwzględ-

nić. „Co mam, — tego nie oddam“ — powiada.

O zgodnym załatwieniu tego sporu myśleć niepodobna. Choćby nawet dyplomacji udało się zażegnać tę wojnę, niszczącą dla ludów bałkańskich, a szkodliwą dla całej Słowianszczyzny, — do zgodnego jednak pożycia nigdy chyba nie dojdzie.

Tem właśnie pocieszają się wrogowie słowian. Nie straszną im jest potęga słowiańska na Bałkanach, bo ludy słowiańskie półwyspu czekają tylko na okazję, by rzucić się na siebie i wzajem się wyniszczyć. Tak było przed wiekami, gdy jeszcze na Bałkanach nie słyszano o Turkach; tak jest i dzisiaj. Zwycięska wojna z Turcją nie wytworzy ze słowian południowych potęgi, z którąby Europa liczyć się musiała. Organizm

ludów bałkańskich, przesiąknięty jadem nienawiści, nosi w swem łonie truciznę, która mu nigdy nie pozwoli rozwinąć się do szerszego lotu.

Taką samą trucizną przesiąknięty jest organizm Turcji. Nie uleczy jej ani przewrót w rządach, ani wprowadzenie konstytucji. Morderstwem znaczył się szlak dziejów starej Turcji, morderstwem swe porachunki regulują nowe partie polityczne. Zamordowanie Szewketa-paszy, jednego z najtęższych umysłów w nowoczesnym państwie ottomańskim, to objaw upadku, którego nie już powstrzymać nie zdoła. Minęły czasy świetnej potęgi tureckiej, minęły bezpowrotnie. Dziś tylko dziwić się trzeba, jak mogły tak długo trwać rządy na zbrodni oparte. h. m.

„S Z T U K A”.

Z pośród nielicznych miesięczników artystyczno-literackich, obecnie u nas wychodzących, wydawnictwo „Sztuka“ przed 2-ma laty założone przez p. Henryka Juszkiewicza, wysunęło się odrazu na plan, bezwątpienia pierwszy, wskrzesając świetne tradycje niezapomnianej „Chimery“. Jednym z wytycznych dążeń „Sztuki“ już od samego początku jej istnienia — był między innymi zamiar zgrupowania sił młodych i naprawdętwórczych. Obecnie cel ten został prawie osiągnięty. „Sztuka“ zogniskowała w sobie liczny zastęp tych, co pragną wnieść nowe pierwia-

stki artystyczne do naszej zaćmionej atmosfery i stała się narówni z „Museionem“ i „Rydwaniem“, jedną z nielicznych wysepek istotnego artystyzmu, po-

śród oceanu zdawkowej frazeologii, tanich ideałów i fajerwerkowej „poezji“. Ostatni, kwietniowy zeszyt „Sztuki“, pod względem układu i doboru treści literackiej i artystycznej, jest najwymowniejszym dowodem, jak wysoko może stanąć pismo, pod umiejętnym a zapobiegliwym kierownictwem. Z pomiędzy utworów beletrystycznych, na szczególną uwagę zasługuje niezwykle oryginalna nowela p. Korab-Kucharskiego, p. t. „Sprzedający odwrotne strony medali“. Obecnie „Sztuka“ wychodzi pod redakcją p. p. Henryka Juszkiewicza i Henryka Leśniewskiego.



Franciszek Siedlecki.

Wineta tytułowa „Sztuki“.





Femina

MODA W LECIE OBECNEM.

Dołączone do dzisiejszego numeru „Złotego Rogu“ ryciny mody obecnej w różnych jej tualetowych działach, rzucają światło aktualności na liczne okazy tej mody — oddając ją tem samem pod sąd, nietylko wszystkich pań stosujących się do jej rozkazów, a te panie liczą się na miliony, ale i całych przyszłych pokoleń, które się kiedyś na te utrwalone okazy patrzeć będą tak samo krytycznie, jak my patrzemy i sądzimy dziś, mody z przed pół wieku, lub dawniejsze. Jakkolwiek sąd ten wypadnie dla licznych modnych szczegółów, to jednak trzeba będzie kiedyś przyznać modzie terażniejszej w ogólnym jej wyrazie i przejawach, najlepszą wolę i gorące chęci ustrojenia nas najpiękniej, najefekowniej. Moda obecna jest znamienne nastrojowa — stosuje się do ogólnych upodobań chwili — jest *błyskotliwa, zalotna i zbytkowna* a wszak nie trudno dopatrzeć się tych właściwości w terażniejszym ogólnym prądzie. I tak: od lat blisko dziesięciu eleganckie panie upodobały sobie jako tualetową ozdobę, wszystko, co się świeci, co błyszczy, co lśni krociami ognia i oto powstał nowy przemysł... wyrabiania sztucznych kamieni, całego olbrzymiego działu sztucznej biżuterji i tualetowych przyborów.

Dawniej arystokratki rodowe, lub panie ze świata finansów, lub wielkie artystki posiadały

i nosiły klejnoty *prawdziwe*, przekazywane z pokolenia na pokolenie i budzące zazdrość licznych, mniej uprzywilejowanych zastępów kobiet. Noszenie jednak tak zwanych *imitacji* — nie było przyjęte przez elegancie, dobrze się ubierające panie, nie posiadające klejnotów prawdziwych. Moda obecna, szerokim, hojnym gościem zniosła dawne uprzedzenia i obsypała eleganckie damy sztucznymi brylantami, rubinami, szmaragdami i t. d. — od głów, aż do stóp. Sznury brylantów we włosach, w grzebieniach i opaskach — nawet szpilkach do kapeluszy, brylanty na szyi i piersiach (bajecznie modne *plaques*, czyli wielkie medaljony okrągłe, wiszące na platynowych sznurkach) brylantowe paski, klamry i podwiązki i wreszcie nabijane brylantami obcasy... to chyba dowody dostateczne, jak bardzo *błyskotliwą* jest obecna Moda... Że jest *zalotną* dowieść nie trudno, dosyć rzucić okiem na obecne stroje tak zwane *wieczorowe*... Wąziutkie, obcisłe, rysujące kształty szaty, wijące się koło postaci, upinane tak umiejętnie i zdradziecko, że odsłaniają całą stopę powyżej kostek, a w tańcu przy uniesieniu na jedwabnej klamrze sukni, dają możliwość dojrzenia brylantowych podwiązek — to może już nawet nie zalotność a — erotyzm — nie zupełnie bezpieczny i nie zupełnie na miejscu.

Że *zbytek* stał się hasłem

mody obecnej, to wiedzą wszyscy ci, którzy za to płacą. Gdyby przed 10—15 laty powiedziano komuś, że za łokieć batysty *linon* płaci się u nas 6 rb., za materje i adamaszki 8—10—12 rb. za łokieć, za galony po 10—12 rb. łokieć, za kapelusze bardzo skromny 25 rb. a z paradysem 150 rubli — że para eleganckich trzewików kosztuje 16—18 rubli, no i t. d. i t. d... nie uwierzyłyby w istocie. A jednak wiedzą o tem panie, które się w tych cenach ubierają... składając modzie świadectwo, istotnie rozszalałego zbytku.

Dowiedliśmy tedy, że Moda obecna jest *błyskotliwą, zalotną i zbytkowną* i tak ją nie zawodnie sądzić będą i kiedyś — wtedy, kiedy przejdzie do archiwum starożytności.

Oczywiście w tem, jak we wszystkim, warunki osobiste budżetowe, odgrywają najważniejszą rolę — to też *znaczamy* tylko, te ekscentryczności mody z naszego kronikarskiego obowiązku, wiedząc dobrze, że bardzo nieznaczna ilość z pomiędzy naszych Czytelniczek idzie za tym prądem *błyszczenia, azlotności i zbytku*. Należy jednak koniecznie zaznaczyć te wybryki choćby dla tego, by ich unikać całą siłą woli i rozumu. Ponieważ Moda na równi z fortuną „kołem się toczy“, więc prawdopodobnie córki lub wnuczki nasze wróca, o ile ich stać na to będzie, do małej ilości klejno-

tów — ale *prawdziwych*, będą miały szerokimi i długimi sukniami zakryte stopy i nie będą nawet śniły o stu pięćdziesięciurublowych paradyzach.

Jak widzimy z dołączonych rycin, kapelusze w ciągu roku uległy znacznej zmianie — nie są to już owe olbrzymy tak kłopotliwe, tak niepraktyczne i wprost śmieszne. Prawem kontrastu doszły, z początkiem wiosny do minimalnych rozmiarów i odpowiednio się nazywają *Bibi*. Latem jednak postanowiono powiększyć trochę ich wielkość — i noszone obecnie toczki oraz t. zw. *Capelannes portraits*, są bardzo zręczne i proporcjonalne — szpecą je tylko przesadnie wysokie kitki z piór, z kwiatów i różnych ekscentrycznych fantazji. Nowością chwili są t. zw. pióra indyjskie, drobne, wąskie, sterzące, okalające głowę kapelusza, nabierającego wyglądu indyjskiego kołpaka. O, Modo! jakże nieobliczona jesteś w pomysłach swoich!..

Kostjumy zwane *tailleur* (krawieckie) noszą stale, są one rozlicznych kształtów, od zwykłych klasycznych, złożonych ze spódnicy i żakietu, a kończąc na spódnicach w draperje, na bluzach t. zw. bułgarskich, na rozlicznych *vestes* żakietach, kaftanach i t. p. — cały ten dział tualety nosi miano kostjumów krawieckich, pomimo, że wiele z nich daleko odbiegło od swego angielskiego pierwotnego ty-

pu. Na klasyczne krawieckie kostjumy stosują sukno lekkie, t. zw. *drap de dames*, lub szewiot, na strojnniejsze także kostjumy używają atlas-tafte, *double satin*, *Liberty*, *drap feutre*, *côte de cheval* i t. p. Najmodniejszym przybraniem są galony i pasmanterje.

Takie strojne krawieckie ko-



Marja Przybyłko-Potocka
w „Lilljach“.

Charakterystyczny, w najdrobniejszych szczegółach strój zamcznej „Pani“ matoruskiej. Wstążki wplatané w warkocze okalające głowę, tworzą aureole. Cała postać jest wcieleniem ideału.

stjumy służą jako wytworne tualety wizytowe, lub spacerowo-koncertowe letnie, idzie się w nich do teatru, lub na eleganckie wieczorne zebranie. Oczywiście na zebranie proszone, większe, na letni raut, lub wieczerek, elegancka pani zmienia tualetę przywdziewając specjalne, a tak obecnie śliczne i wytworne szaty wieczorne — *robes du soir*. Trudno nazwać *sukniami* to zestawienie draperyjne miękkich jedwabi, gazy, koronek, tynłów, dżetów, galonów, okalających całą postać, która powinna przypominać posąg grecki, całokształtem linii — rysunku. Z tualet obecnych wogóle, a wieczorowych szczególnie, wykluczono wszelkie skrapowanie. Gorsety noszą zupełnie niskie, z miękkich elastycznych materiałów, owa prosta brykla włączająca figurę ku tyłowi, już nie istnieje, jest zupełnie niemodna, nie *moderne* i trzeba się jej wystrzegać. Chcąc osiąść modną, stylową sylwetkę, trzeba przedwzyskiem zmienić gorset na obecnie noszony, to jest konieczne, bez tego tak ważnego tualetowego szczegółu nigdy szykownie i modnie wyglądać się nie będzie nawet w najpiękniejszej tualecie.

Pragnę zwrócić na to uwagę Szanownych moich [Czytelniczek i mam nadzieję, że będzie ona łaskawie przyjęta ku własnemu ich dobru i pożytkowi.

Marcèle.

Prawo głosowania w Danji. Danja uchwaliła statutem Państwowym prawo głosowania dla kobiet. W wyborach municipalnych Kopenhagi, panna Blumm nauczycielka kandydatka partji Chrześcijańskiej — została wybrana. Kobiety głosowały w olbrzymiej ilości, zapewniając swęj kandydatce wspaniałe zwycięstwo. Całą noc trwały entuzjastyczne manifestacje na cześć p. Blumm, obnoszono ją rękach po ulicach stolicy, rzucano jej kwiaty pod stopy, uwieńczono ją laurem. Skromna nauczycielka nigdy nie śniła o podobnym tryumfie!..

Półzwycięstwo sufrażystek. Cały świat cywilizowany potępią ekcesy sufrażystek angielskich, co nie przeszkadza, że

trzeba im przyznać bajeczną abnegację. Nie mówiąc już o więzieniu a nawet o „*hard-labour*“ znoszonych z całym stoicyzmem godnym wielkiego szacunku — czynią one olbrzymie ofiary pieniężne na rzecz umiłowanej sprawy. I tak podczas meetingu w Albert Hall — podpisy ich wyniosły 375,000 franków. Wiele sufrażystek wyzbywa się brylantów, niektóre zdejmują obrączki, zegarki, łańcuszki, składając je w ofierze sprawie wysiłki te i poświęcenia nie pozostają bezowocnymi. Minister angielski *Lloyd Georges* oznajmił w Izbie, że rząd zgadza się na przyjęcie Bill'u o ograniczonym prawie głosowania dla kobiet. Oczywiście nie jest to jeszcze tryumf ale jest

to poważny krok uczyniony na drodze do przyszłego zwycięstwa.

Odpowiedzi i Rady poufne dla pań.

Pani D. L. Owszem, ale puder „*Floréine*“ jest bezporównania lepszy; przedewszystkiem nie zawiera w sobie cynku i innych t. p. szkodliwych części składowych. Następnie puder „*Floréine*“ jest bardzo subtelny, posiada miły a dyskretny zapach i przylega dobrze do twarzy.

Kodziance. Niech się Pani myje stale ciepłą wodą i mydłem „*Floréine*“ (2-3 razy dziennie); pryszcze znikną i cera będzie delikatna.

S. D. Krem „*Floréine*“ cieszy się zupełnie zasłużonym powodzeniem; dla udelikatnienia skóry twarzy i rąk niema lepszego środka.



Uczesanie wieczorowe strojne. Cała głowa okolona perłami. Styl z 1830 roku.



Uczesanie codzienne. Własne włosy lub „postiche“ ondulowane, spięte na tyle głowy.



Kapelusz skromny. Słoma tagal natural, okolona piękną białą wstążką z bouton d'or brzegami. Takż kokarda.



Kapelusz strojny. Niebieski, z materiału zwanego „brillantine“, w cieniu turkusowym. Przybranie ze złotych i czarnych kłosów.



Kostjum klasyczny krawiecki skromny, spódnica z angielskiego szewiotu, przybrana na dole guziczkami. Żakiet z wyłogami i modną kamizelką.



Kostjum krawiecki *modern-style*. Spódnica z czarnej *charmeuse*, fantazyjnie draperowana, stanik zdobny haftem, mankiety i żabot z koronki białej, pasek sukienny „cezenne“ niebieski, zakończony pasmanterją.



(A) Przód sukni i tren z *double satin*, koloru *turquoise*, tiunika oznaczonym krojem z gazy czarnej, haftowanej złotem w duże arabeski i desenie, stanik bluzkowy, niebieski atłasowy, wielka złota róża przy boku, pończochy koronkowe białe, trzewiki *Carnot* atłasowe niebieskie. (B) Spódnica modnym krojem z *double satin*, koloru *fraise* długa prosta tiunika z gazy paljowej, cała haftowana srebrem. Czarna aksamitna kokarda przy boku.



Kostjum krawiecki najmodniejszym krojem. Spódnica z materiału *côte de cheval* białego w żółte paski. Żakiet pół długi, z rękawami zwanymi *aeroplan*.



Gorset, krojem najmodniejszym.



Ubrania dla chłopczyków. (A) Biała sukienka, bluza zdobna haftem bułgarskim. Trykoty blado-zielone, czarne lakierowane trzewiki. (B) Sukienka bluza, ciemno *bordo*, z obłożeniem czarnem jedwabiem, pas biały sukienny, ciemno *bordo*, trykoty, lakierowane trzewiki.



Ubrania dla dziewczynek. (A) Sukienka biała z płótna bułgarskiego, zdobna haftem bułgarskim. Trykoty białe i białe skórkowe trzewiki. (B) Sukienka z blado-niebieskiej *charmeuse*, zdobna haftem angielskim, pas jedwabny niebieski.



Serwetka niebieska atlasowa, zdobna haftem *application*.



WALKA Z OSPĄ.

Ze wszystkich miast u nas, Łódź jest najpodatniejsza do rozwoju wszelkiej epidemji. Najbardziej zaś upodobała ją sobie ospa i rokrocznie zabiera liczne ofiary. Epidemja ta do najwyższego napięcia doszła w roku zeszłym. Dane, zgromadzone przez doktora Stanisława Skalskiego, wykazują (według ksiąg urzędników stanu cywilnego), iż w r. 1912 wskutek ospy zmarły 22 osoby dorosłe oraz 565 dzieci i młodzieży do lat 14-tu. Ponieważ procent śmiertelności, obliczony na podstawie tablicy lekarza naczelnego szpitala dla chorych zakaźnych, d-ra Trenknera, wynosi dla dorosłych mężczyzn i kobiet w przecięciu 12,06, a dla dzieci 23,68, to obliczona według tej skali ilość zachorowań w całej Łodzi wyniesie dla dorosłych 178, dla dzieci 1431, ogółem 1,609, z czego w szpitalu dla zakaźnych leczono się niespełna 11% (10,88), reszta zaś, jak zaznacza dr. Skalski, „wpływała na dalsze zakażenie Łodzi“.

Stan warunków i środki walki z tą straszną chorobą, dr. Skalski scharakteryzował w odczycie, wygłoszonym na posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego łódzkiego, obecnie zaś praca ta wyszła w osobnej odblacie, która ze wszechmiar zasługuje na rozpowszechnienie.

Z ogółu mieszkań, w których byli chorzy na ospę, a mieszkań tych było przeszło półtora tysiąca, izba odkażająca miejska odkażyła zaledwie 109. Nadto 23 mieszkania odkażyła służba zdrowia widzewskiej manufaktury bawełnianej, czyli ogółem dokonano 132 odkażenia po ospie w mieszkaniach prywatnych, gdy samych zgonów na terytorjum Łodzi było 587.

Tutaj jest szkopuł najważniejszy: w jaki sposób i dokąd przenosić rodziny chorych na czas odkażania ich mieszkań, „gdy Łódź, będąca istnem ogniskiem wszelkich chorób zakaźnych, nie posiada dotąd mieszkań izolacyjnych...“ „Miasto o budżecie przeszło 1½ milionowym, mające 683,391 rb. różnego rodzaju kapitałów zapasowych, nie może znaleźć środków na zbudowanie domu izolacyjnego, niema ich na wynajęcie odpowiedniego budynku i pozostawia sprawę całą własnemu biegowi, licząc widocznie na to, że zarazem Łódzianie przystosują się do ospy i przestaną na nią zapadać. W stosach projektów, pogrzebanych w głębiach szuflad magistrackich, spoczywa pewnie i ów nieszczęsny projekt domów izolacyjnych, obok wielu innych...“

„W ciągu roku ubiegłego — mówi dr. Skalski, — nie się na lepsze nie zmieniło. Postaremu stoimy na poziomie jakiegoś zapadłego osiedlis-

ka narodu syberyjskiego, gdzie zaraza ospowa zabija całą ludność, widzącą jedyny ratunek w ucieczce na inne miejsce, bo o jakichś środkach walki z „czarną babulą“ nikt nie śmie marzyć.“

Dnia 28 go marca 1908 roku, 32 posłów wniosło do Dumy projekt prawa, co do przymusowego szczepienia ospy w Rosji europejskiej i Królestwie Polskiem. Projekt ten ministerjum spraw wewnętrznych całkowicie zmieniło i zostało z niego tylko tyle, że szczepienie ma być przymusowe jedynie w miastach uniwersyteckich państwa. Wobec tego należałoby dążyć do uprzystępnienia szczepień szerokim masom ludności w domach. Wprawdzie nie zastąpi ono szczepień przymusowych, ale bądź co bądź może dać bardzo pomyślne wyniki, o czym zresztą świadczą próby dotąd dokonywane. Tak np. z bardzo dobrym wynikiem stosowano gromadne szczepienia ospy w Moskwie oraz w Warszawie.

Dr. Skalski zaznacza, że wogóle ilość szczepień w Łodzi, bądź poraz pierwszy, bądź powtórnie, jest tak mała, że na przebieg epidemji ospy niemal żadnego wpływu nie wywiera, gdy tymczasem wszystko zależy od napięcia szczepienia ospy, t. j. od ilości dodatnich wyników szczepienia.

Dr. Hubst w tej sprawie pisze: „Jeśli ten czynnik jest nieznaczny, jeśli liczba osób, którym ospa się przyjęła, wynosi w danej miejscowości mniej niż 60% ogółu ludności, jeśli materiału palnego w postaci skłonnych do zarażenia się ospą nagromadzi się dużo, to wybuch epidemji ospy jest nieunikniony. I odwrotnie. Z chwilą, gdy napięcie szczepienia choćby w ciągu najkrótszego okresu (3 — 4 tygodnie), przekroczy chociaż 3 — 5% owe 60% ogółu ludności, to epidemja ospy wygasa, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej“.

Na poparcie swego poglądu dr. Hubst przytacza spostrzeżenia swoje z epidemji ospy w roku 1900 w Petersburgu. Gdy w ciągu miesiąca zaszczepiono tam 200,000 osób, przeważnie z pośród ludności pracującej, epidemja szybko ustała. W następnym miesiącu zaszczepiono jeszcze 100,000. Te dodatkowe 300,000 szczepień, stłumiły na lat kilka ospę w Petersburgu.

W Łodzi, zdaniem d-ra Skalskiego, jedynym sposobem wytrzebienia ospy, byłoby dokonanie ćwierci miliona szczepień ochronnych, bądź w postaci szczepienia poraz pierwszy, bądź jako rewakcyacji i utrzymanie owej ilości na pewnym stałym poziomie. Inaczej będziemy mieli ciągle do czynienia z ospą o mniejszem lub większem napięciu, lecz stale.

Dr. Skalski proponuje, ażeby wszystkie uchwały łódzkiego Towarzystwa lekarskiego

w sprawie walki z ospą, powzięte w roku zeszłym, utrzymały swą moc i nadal.

Gdyby Towarzystwo zgodziło się na tę propozycję — mówi dr. Skalski, — to należałoby imieniem tej instytucji przypomnieć wszystkim kierownikom szkół o potrzebie wymagania od młodzieży obojej płci, wstępującej do szkół wszelkiego typu, świadectw rewakcytacji, zamiast dawniejszych świadectw szczepienia wogóle. Inspektorem fabrycznym należałoby przypomnieć o istnieniu przepisu co do szczepienia ospy nowoprzjętym do pracy w fabrykach i o szczepieniu zbiorowym wszystkich robotników i robotnic w razie wybuchu epidemii ospy. Należałoby dalej nawoływać za pomocą prasy i ambony rodziców, by niemowlętom swym szczepili ospę, a dzieci starsze nad lat siedem poddawali rewakcytacji. Najważniejszy wreszcie krok będzie polegał na przekonaniu zarządu miejskiego łódzkiego o konieczności staranniejszej i dbalszej opieki nad zdrowiem ludzkim, „choćby nawet ta opieka i dbałość miała zmusić kasę miejską do pewnych wydatków, gdyż kasa owa ma pieniądze na wszelkie wydatki, brak jej ich tylko na wydatki ze zdrowiem ludzkim związane”.

„Powinniśmy przekonać zarząd miejski — pisze dr. Skalski, — o konieczności podjęcia walki z ospą, drogą gromadnych szczepień ochronnych“. W tym celu należy otworzyć w różnych punktach miasta stacje bezpłatnego szczepienia ospy. Nadto, magistrat powinien przyspieszyć odkładaną z roku na rok budowę szpitala dla chorych zakaźnych. Powinien wreszcie się zająć budową domów izolacyjnych.

„Gdy dodamy — mówi dr. S., — a raczej gdy zaczniemy od obowiązku zawiadamiania o każdym wypadku ospy, gdy skończymy na obowiązku rejestracji przyczyn zgonów, będziemy mieli wszystko, co trzeba uczynić“.

Program walki z ospą w Łodzi, wzorowany na Warszawie, zdaniem d-ra Skalskiego, powinien być następujący:

Przy akcie chrztu, czy innym odpowiednim, rodzice niemowlęcia podpisują deklarację, że w ciągu pewnego czasu poddadzą swe niemowlę szczepieniu ochronnemu. W każdym domu, gdzie się zdarzy wypadek ospy, wszyscy mieszkańcy podlegają szczepieniu, chorzy zaś odosobnieniu, bądź w mieszkaniu, gdy ilość pokoi na to pozwala, bądź w szpitalu. Mieszkanie i rzeczy chorego podlegają bezpłatnie przymusowemu odkażaniu; przez czas odkażania rodzina zostaje umieszczona w domu izolacyjnym miejskim, gdzie w ciągu swego tam pobytu otrzymuje pożywienie na koszt miejski.

Dla wykonania tych żądań w sprawie walki z ospą, dr. S. proponował wybranie komisji, która na zasadzie zebranego materiału, przedstawiłaby władzom gubernjalnym postulaty i uzasadniłaby je wobec tej władzy. Żądania streszczają się w kilku wyrazach: szczepienie ochronne gromadne, zawiadamianie o chorobie, odosobnienie chorych w szpitalu, a rodziny chorego w domach izolacyjnych, odkażanie bezpłatne mieszkania chorego, szczepienie mieszkańcom domu, gdzie była ospa, rejestracja przyczyn zgonu.

W celu wyzyskania dla dobra szerokich mas wszelkich dróg i środków, dr. Skaski proponował również, by Towarzystwo lekarskie w Łodzi opracowało odpowiedni referat o stanie walki z ospą w Łodzi i przesłało go do Dumy państwowej na ręce, którego z posłów-lekarzy.

Zdaje się, że wkrótce cała ta sprawa wraz z innymi sprawami sanitarnymi Łodzi, znajdzie się na pomyślnej drodze, bo oto w tych dniach odbyło się w magistracie łódzkim zebranie z udziałem radnych i lekarzy, na którym postanowiono stworzyć wydział sanitarny przy magistracie. W zakres jego obowiązków wejść: nadzór nad zdrowotnością miasta, rejestracja zachorowań i śmiertelności, walka z chorobami zakaźnymi, szczególnie z ospą, kuracje ochronne szczepień, kwestja nadzoru szkolnego, budowa nowych szpitali, stworzenie komory dezynfekcyjnej oraz laboratorium miejskiego i wogóle wszystkie sprawy sanitarne miasta.

Z. Pietkiewicz.

Sanatorium.

Jedno z pierwszych miejsc zajmuje nasza Łódź w szeregu miast europejskich, w stosunku do chorób. Dymem gryzącym przepojone powietrze, brak zupełny parków, słynny aż nadto stan higieniczny, nader ujemnie wpływają na stan zdrowotności mieszkańców Łodzi.

Szczególniej rozpanoszyła się gruźlica. Około dwóch tysięcy ofiar zabiera ona rocznie społeczeństwu łódzkiemu, 2,000 istnień ludzkich, które w innych warunkach przyniosłyby ogółowi naszemu niezmiernie usługi.

Istniejące w naszym mieście towarzystwo pod nazwą „Liga przeciwgruźlicza“, oddaje nieobliczalne wprost korzyści. Obecnie zajęto się zorganizowaniem odpowiedniego sanatorium dla piersiowo chorych. Zawdzięczając ofiarności społecznej, prace w tym kierunku idą szybkim krokiem naprzód.

Również radosną wieścią chcielibyśmy się podzielić z naszymi czytelnikami.

Istniejące przy łódzkim tow. „Bykur cholim“ sanatorium „Uzdrowisko“, postanowiło podczas miesięcy zimowych otworzyć swe podwoje dla piersiowo chorych. Nowa ta placówka odda kilkuset chorym nieocenione wprost usługi. Koszty leczenia będą minimalne, dla niezamożnych zupełnie bezpłatnie.

Zorganizowany komitet z dr. Bettem na czele opracował szczegółowy projekt i z początkiem miesięcy zimowych, a mianowicie dn. 1-go października, nowe sanatorium zostanie otwarte dla szerszych mas. Nowozałożone sanatorium jest wynikiem społecznej akcji, ku ukróceniu szalejącej namiętności wroga ludzkości szczególnie zaś wroga proletariatu łódzkiego.

Wierzmy, iż zapoczątkowana praca nie minie bez echa i coraz to szersze kręgi przyłączą się, by kontynuować w dalszym ciągu dzieło miłości bliźnich. Wzajemna akcja społeczna dokonać może cudów.

R. Mar.



POPULARYZACJA WIEDZY

KRONIKA POPULARYZACJI WIEDZY.

Widok dna morskiego.

Bogaci ludzie będą sobie mogli pozwolić na jedną jeszcze przyjemność więcej, oto będą mogli zajrzeć na dno morskie. Ściśle mówiąc, idzie tu o urządzenie, które pozwoli obserwować życie na dnie morskiem, czy w głębinach morskich, bez nurkowania. Już po pierwszych lotach przez kanał La Manche, lotnicy opowiadali, że z samolotów widzieli dno morskie. Widzieli skały podwodne, niewidzialne gołym okiem, łodzie podwodne, ryby i t. d., a z tej okoliczności, której zresztą nie umieli sobie wytłumaczyć, wyciągali wniosek, iż lotnik mógłby w marynarce pełnić służbę informatora, donoszącego o wszystkim, co się dzieje pod powierzchnią morza. Wyjaśnienie tego faktu jest bardzo proste. Powierzchnia morska działa na ludzkie oko jak zwierciadło. Morze chłonie wprawdzie część promieni na jego powierzchnię padających, większość ich jednakże odbija się, co się dzieje zwłaszcza wówczas, jeśli te promienie są skośne. Odbite promienie osłabiają i osłepiają po części oko, które nie jest już wrażliwe na promienie słabsze, przez przedmioty pod wodą się znajdujące odbijane. Te świetlne odbłaski na lotnika, patrzącego na zwierciadło wód ze znacznej wysokości już nie działają, dlatego z łatwością może rozpoznać, co się dzieje pod powierzchnią morza. Można się o tem przekonać, puściwszy się w łódce na morze i zaopatrzywszy się w rurę długą na kilka metrów. Jeżeli się jeden koniec rury zanurzy w wodzie,

a przez drugi patrzy, zwłaszcza jeśli się przykryje głowę czarnym sukniem, jak to robią fotografowie, już zapomocą tak prostego urządzenia można widzieć, co się dzieje w morzu. Te rozkoszne wrażenia, o których dziś wiemy tylko z opowiadań nurków, uprzystępnione będą już dla ludzi, rozporządzających swobodnie paru setkami franków. Niedawno zorganizowało się towarzystwo amerykańskie i wybudowało odpowiednio urządzone jacht, który już tego lata puści się w podróż po morzu. Na dnie okrętu w pewnych miejscach są wielkie płyty szklane, należyście grube a przezroczyste i przez nie będzie można obserwować życie morskie. Jeśli słońce świeci widać wszystko, co się dzieje aż do głębokości stu pięćdziesięciu metrów, wówczas także i morze świeci tysiącami barwami, zwłaszcza w sferze podzwrotnikowej. Ma to być widok, przewyższający najbajeczniejszą wyobraźnię.

Balon Zeppelina.

Korzystając z przybycia Zeppelina do Wiednia, opisują dzienniki wiedeńskie z zapalem jego statek powietrzny. Podajemy ten opis w streszczeniu.

Jest to olbrzymi statek, prawie pedantycznie stereometrycznego kształtu, wielograniasty cylinder bez rozczłonkowania, bez żadnych wyraźniejszych linii, długi, niby wieża kościoła św. Stefana, ułożona na trawie. Wewnątrz znajduje się siedemnaście balonów, oddzielonych od siebie ściankami. Z zewnątrz widać tylko ścianę z szarej ma-

terji bawełnianej. Nic nie zdradza, że pod ścianą w olbrzymim rozpięciu kryją się i piętrzą wprost ozdobne w swoim rodzaju wiązania aluminiowe, które wiotkiemu balonowi nadają siłę i odporność. Olbrzymia belka nitowana z aluminium, podobna do srebrnej plecionki, kryje się pod bezbarwnym materiałem, potężna, przeszło stumetrowej długości sztaba, niby tram okrętowy, prująca chmury i powietrze.

Ta sztaba jest jednocześnie chodnikiem, szerokości jednej stopy. Z gondoli prowadzi poły-skująca srebrzysta drabinka, która znika w jednym z fałdów materiału. Tędy wchodzi się do wnętrza tunelu i idzie się po tym wązkim chodniku, jakby korytarzem wśród materialnych ścian, prowadzących do wielkiej kabiny pasażerskiej, będącej w środku balonu. Jest to pokój w rodzaju coupé, utrzymany w delikatnym zielonym tonie, elegancki, z wielkimi oknami. Zdaje się, jakby kolumny aluminiowe podtrzymywały sufit, w rzeczywistości zaś z sufitu na tych kolumnach zwisa podłoga. Obok kabiny pasażerskiej znajdują się małe kabinki, przeznaczone na garderobę i inne cele, przede wszystkim zaś na coś w rodzaju skromnego bufetu.

Tuż u końców balonu widać aluminiowe gondole, kształtu łodzi. Gondole opatrzone są bryłową podstawą, którą stają na ziemi a podczas lądowania. W każdej gondoli jest motor. Trzeba słyszeć co się dzieje, gdy motory, wprawia się w ruch. Dudnienie kopyt stu osiemdzie-

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci.

sięciu, tak samo silnych i żywych koni jest dziecięcym gwarem wobec tego hałasu. Jest to ni- by grzmot. Cały budynek zaczyna drżeć i dygotać, z rur wydmuchowych wraz z płomieniami wydobywa się wycie, któreby mogło zagłuszyć gwizd dwudziestu syren fabrycznych. Ma się wrażenie, jakby się było w samym centrum orkanu. Strzały, grzmoty, pioruny następują po sobie, jakgdyby ten cały gmach olbrzymi miał wylecieć w powietrze. W chwilę później wysoko po obu stronach gondoli rozpoczynają śmigi swój szalony ruch.

Wiatr szarpie balonem. Żołnierze balonowego oddziału trzymają po obu stronach liny, kierując statek dziobem w stronę wiatru. Balon przodem ściągnięty ku ziemi wierzga i rzuca tyłem. Jednocześnie kontroluje się aparaty i wyjmuje barograf, który zanotował wysokości, na jakich się balon znajdował. W gondolach spostrzegamy czarne i czerwone chwyty, prowadzące do worków balastowych i wentylów; prócz tego znajdują się tam istne warsztaty, będące w związku z maszyną i przyrządy.

Na uwagę zasługuje, że kotwicy przy zeppelinowskim statkach używa się tylko tam, gdzie brak ramion ludzkich, potrzebnych do wylądowania. Jest to widać siła elastyczniejsza, lepiej się poddająca i stosująca do ruchów i potrzeb balonu.

Poczta aeroplanowa na Alasce.

W całej Ameryce poczta niczem nie różni się od europejskiej, jedynie tylko na Alasce tygodniami nieraz wyczekiwać trzeba na listy i gazety. Aby temu zaradzić oficer amerykań-

skiego oddziału lotniczego Cromer wystąpił z planem, aby w całej Alasce urządzić pocztę aeroplanową.

Pomysł ten zdaje się być możliwy do przeprowadzenia. Cromer proponuje użycie hydroplanu, który byłby w stanie zabierać ładunek około 200 kg. na przestrzeni od Skagway do White Horse. Odległość tę, przy normalnej szybkości, możnaby przebyć w przeciągu 2 godzin. Z White Horse nowy lotnik na nowym aparacie wyruszałby do Selkirk, dokąd przybyłby mógł w czasie 5 godzin.

Następną stacją byłoby miasto Selkirk Dawson, po trzech godzinach lotu, a ostatnią po 5 godzinach lotu fort Yukon, leżący już w obrębie koła biegunowego.

W ten sposób pokonanoby największe trudności komunikacyjne w Alasce, co niewątpliwie ogromnie dodatnio wpłynęłoby na całe życie w kraju i rozwój przemysłowo handlowy.

Obecnie jedynym środkiem komunikacyjnym są tam główne rzeki, niestety jednak miejscami tak płytkie, iż wcale po nich płynąć nie można, a nadto przez większą część roku są pokryte lodem. W zimie utrzymuje się komunikacja za pomocą sanek, zaprzężonych w psy.

Zwierzęta te są niezmordowane i np. przestrzeń pomiędzy Cripple Creek do Nome — wynoszącą 650 kilometrów — przebywają w przeciągu 82 godzin, o ile naturalnie sprzyjają warunki atmosferyczne.

Czy projekt Cromera jest wykonalny, nie da się rozstrzygnąć teoretycznie, ale orzeknąć mogą o tem dopiero lotnicy po próbach na miejscu i zbadaniu tamtejszych warunków klimatycznych, czy i o ile nadają

się one do urządzenia poczty powietrznej.

O niearyjskiem pochodzeniu Niemców.

Uczony filolog niemiecki, p. Feist, ogłosił obecnie bardzo ciekawą teorię, z której wynika, że naród germański, żywiący tak wielkie pretensje do przodowania rasy białej, wcale do tej rasy nie należy.

Zdaniem uczonego Niemca, Germanowie byli jednym z pierwszych plemion Europy, jak Etruskowie, Baskowie, Iberowie. Więcej niż trzeciej części pierwiastków germańskich nie znajdujemy w dialektach rasy indoeuropejskiej (jako przykład podaje p. Feist słowa: Abend, Adel, Arm, Bach, Baum), co dowodzi, iż osnowa języka niemieckiego, jest starożytnym językiem pierwotnym, od rasy kaukaskiej niezależnym.

Naród germański mógł być o jakie 1000 lat przed Nar. Chrystusa podbity przez jedno z napływających z Azji plemion kaukaskich.

Nieliczni zdobywcy zleli się z nim po upływie kilku wieków i w ten sposób powstało zarówno plemię germańskie, z bardzo nieznaczną domieszką krwi kaukaskiej, jak i język germański, do którego znów weszła większość pierwiastków języka przybyszów, jako bardziej rozwiniętego i bardziej przy zetknięciu się z niższą kulturą, silnego.

Teoria p. Feista wywołała w naukowej prasie niemieckiej żywą polemikę. Uczeni niemieccy filologowie omal, że nie oskarżyli go o zdradę. Ale pozostaje faktem, iż hipoteza p. Feista o niearyjskiem pochodzeniu Germanów, może wytłumaczyć szereg niezrozumiałych zjawisk filologicznych.



LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

20)

BOMATER.

POWIEŚĆ.

Przybiegła cześnikowa w szarej kaczce z ogromnym pękiem kluczy u pasa, bo choć to już na wielkich majątkach pani, zwyczajem chudopacholskim kluczy z rąk nie popuszczała.

Po gorących powitaniach z Henrykiem rzuciła się do ucałowania dziecka.

W porozumieniu się jednak z maleństwem wynikły nieprzewidziane trudności.

Mała Marta nie mówiła ani słowa po polsku. Cześnikowa, choć z domu Rytwiannówna, była w rodzinie kopeiuszkim i nie dostąpiła też łaski światła od zagranicznych guwernantek. Cześnik również z wychowania u księży Pijarów pamiętał tylko doskonale Alwara i monitora boćkowskiego, z francuzczyzną był jednak nie najlepiej.

A wszakże Marta miała zostać pod ich opieką, Bóg wie jak długo.

Henryk po wielogodzinnej konferencji zaledwie miał czas przedrzemać się chwilę a już przebrany tylko w nieco strojniesz suknie wyruszył w Krakowskie do obozu i więcej już nie wrócił. Zginął pod Maciejowicami. Odtąd cześnikowa poświęciła się wychowaniu małej Marty z całym oddaniem się, ile że własnych dzieci Bóg jej poskąpił.

Nie żałowano kosztów, zachodów, wprowadzano najlepsze guwernantki i guwernerów, a kiedy wreszcie cześnik przeniósł się do wieczności, pani Tekla puściła Wólkę w dzierzawę i przeniósła się z wychowanką do Warszawy, ażeby dziewczyna mogła użyć świata.

Działo się to w pierwszych czasach powstania Księstwa Warszawskiego. Bale, za-

bawy, reduty następowały jedne po drugich. Cześnikowej ciążyło niezmiernie owo życie wielkoświatowe. Uważała, że jest jako kura, która wychowała kaczęta i z trwogą patrzy, kiedy jej się wymykają na wodę. Z wdzięcznością też przyjęła ofiarę księżnej Sapieżyny, która zainteresowana wielką urodą dziewczyny, podjęła się wprowadzić ją w świat, zapewniając swoją opiekę.

Odtąd pani Jacuńska, pozbywszy z głowy starania około pięknej panny, oddała się modlitwom i pobożnym uczynkom.

Panna Marta bywała już rzadkim gościem w dworku na Grzybowie.

Staruszka z różańcem w ręku chodziła po pokojach, przesuwając meble, okurzając porozkładane na etażerkach cacka i traci, ła coraz bardziej czucie z wychowanką, która stawała się jakaś skryta i zamknięta w sobie.

Mijały dni za dniami — jednostajne, monotonne, choć w kraju, na świecie działy się rzeczy niezwykle, wstrząsające do głębi świadomość społeczeństwa.

Radykalnie zmieniło się wszystko, kiedy w połowie stycznia 1813 r. w mroźny wieczór stanęło przed cichym dworkiem dwoje sań.

Panna Krystyna domagała się kwatery dla rannego brata i narzeczonego, przyczem sama z matką prosiła o gościnę, aby mogła zbliżka nad chorymi roztoczyć opiekę.

Dom, jak się rzekło, obszerny był. Umieszczenie więc chorych nie sprawiało trudności, znalazł się też wygodny pokój dla sędziny z córką, wszystko to jednak razem wzięte wprowadziło do dworku zamęt, który pocziwą staruszkę przyprowadził o kłopot prawdziwy. Ciągłe przewijanie się lekarzy, chirurgów, oficerów różnych stopni i broni, którzy przychodzili odwiedzać rannych towarzyszy, napełniało dom gwarem.

Było też wiele niepokoju i strapien głębszej natury. Jak się okazało, ręka Wa-

clawa, źle opatrzona, wymagała powtórnej operacji. Były nawet chwile, kiedy zwątpiono o jego życiu i cześnikowa odprawiała gorące modły za konających. Na szczęście niebezpieczeństwo minęło, operacja udała się szczęśliwie i chory potrochu przychodził do zdrowia. Rekonwalescencję utrudniało jeszcze ogólne wyczerpanie organizmu.

Natomiast rozplątana kozackimi szablami, głowa porucznika Grabowskiego zrosła się szybko. Zdrow i wypoczęty siadał do klawikordu i oddawał się ukochanej swej muzyce. Haydn, Méhul, Spontini i ten najbardziej umiłowany Mozart, pod jego palcami rozbrzmiewali w niezrównanych koncertach, symfoniach, w czarującej rozległości lirycznej, poruszającej do głębi serca dwoje młodych dziewczyn, które przytulone do siebie przed ogniem kominka, pod wpływem tej muzyki czarownej, oddawały się marzeniom.

Krystyna i Marta zaprzyjaźniły się ze sobą i otworzyły nawzajem serca. Kiedy jednak rozbrzmiewały w saloniku słodkie tony „Urowadzenia z seraju“ lub „Fletu z czarowanego“ marzenia ich niejednakiemi biegły drogami.

Panna Krystyna, szczęśliwa narzeczona, czekała już tylko dnia, kiedy po załatwieniu pewnych formalności świątecznych będzie się mogła na zawsze połączyć ze swym ukochanym bohaterem, Marta tymczasem o innym bohaterze marzyła — o bohaterze, którego imienia nawet tej swojej serdecznej przyjaciółce powiedzieć nie śmiała.

Kto widział jednak jej wzrok, wtedy na balu ambasadora Pradta, kto dostrzegł łzę w nich błyszczącą w chwili, kiedy w najwyższym niepokoju pytała o życie Księcia Józefa, ten niezawodnie znalazł rozwiązanie tajonej głęboko w sercu tajemnicy.

Widziała te oczy gorejące, widziała w nich łzę błyszczącą hrabina Potocka i wtedy właśnie na tym balu pamiętnym zainteresowała się osobą dziewczyny. Intuicja kochającego serca niewieścigo umiała czytać w innych sercach niewieścich.

Pannę Martę spotkała w dni kilka potem na pokojach księżnej Sapieżyny.

Przywitała ją obcesowo.

— Książę Józef żyje!

— Ach!..

Spojrzenie niewypowiedzianej wdzięczności było dowodem, jak radośnie wiadomość tą do serca przyjęła.

— Książę Józef wrócił i jest w Warszawie — rzuciła jej znowu innym razem.

Dziewczyna nie mogła opanować wzruszenia.

— Widziała go pani hrabina? Zdrow? Szczęśliwy?

Hrabina, mierząc ją badawczo domyślnym okiem opowiedziała najszczegółowiej dzieje swej pierwszej wizyty u powracającego z okropnej wyprawy wodza.

— Ah, jaka pani szczęśliwa.

Uśmiechnęła się hrabina.

— Że... że?

— Że mogła pani księcia widzieć.

— Ha, ha! nie trudno jak sądzę, będzie i waćpanie takiego szczęścia dostąpić, — odparła nie bez odcienia pewnej złośliwości!

— Książę nie jest niedostępny, zwłaszcza dla osób, które mają takie cudne, płomienne oczy.

Widząc zmieszanie zaczęła się śmiać dobrotliwie.

— No, no, niema się czego wstydzić, proszę być u mnie jutro o piątej, a może... może...

(d. c. n.)



MARJAN ORLICZ

1)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

I.

Zimne światło kończącego się dnia wrześnieowego wlewa się przez wielkie okno do pracowni.

Szeroką smugą opływa rasowo piękną głowę Żarskiego, nachylonego przy stalugach, łamie się w fałdach białej szaty modelki na podium, lśni na jej nagich ramionach.

Nie jest we zwyczaju malarzy, przyjmować kolegów podczas seansu.

Dziś jednak jakby umyślnie, zesłała się ich cała paczka.

*A że przy-
stojowa
jest u przaj
masz?*
skiego, więc też każdy jest jak u siebie. Na otomanie, nad którą kupiony w brica bracu na dekorację lwi łeb wyszczerza tekturowe kły i błyska szklanymi ślepiami, rozciągnął się jak długi, wiecznie zmęczony Orliński.

Z po za trzymanego przed sobą dziennika, przysłuchuje się apatycznie żółciowym docinkom Kryńskiego, zwróconym w stronę dobrodusznego, nie umiejącego się bronić Jakajtysa.

Ogromny litwin, jak gdyby się opędział natrętnej musze, odrzuca co chwila giestem zniecierpliwienia płową grzywę, opadającą mu coraz na oczy, ale się na żadną ciętą odpowiedź zdobyć nie potrafi.

Przy stoliku krepy, o rubasznych ruchach rzeźbiarz, brzydał, mający się za niebezpiecznego Don Juana, gra w pikietę z malarzem, sfrancuziałym polakiem, który falistą fryzurą, monoklem, wcisniętym w lewe oko, rozdzieloną brodą, zrobił sobie nie bez powodzenia głowę à la Alfons Daudet. Skończyli jedną partję i zaczęli drugą. Żarski oddalił się od stalug, ażeby się przyrzec swojej pracy.

Zapukano do drzwi i Skrzecki wpadł jak bomba.

— Cóż wy, jeszcze przy robocie?

Swoim zwyczajem, załedwie się przywitał podsunął się do modelki i uszczypnął ją w policzek.

— A bas les pattes, burknęła gniewnie.

— Ho, ho, jaka nieprzystępna. A wy skądęście wyrwali to cudo? Toż to szam pańska niewiasta!

— Skrzeka, zostaw: przeskadzasz i wiesz że „apostoł“ tego nie lubi.

Kryński drgnął niby.

— Wielkie bogi! Orliński przemówił!

Skrzecki roześmiał się swoim młodzieńczym śmiechem.

— Że przeskadzam, bardzo być może ale że apostoł „tego“ nie lubi, to już nieprawda. Każdy na jego miejscu wolałby smaczny kasek zostawić dla siebie.

Żarski się zmarszczył.

— Alice, zupełnieś zmieniła pozę, — zwrócił się z niezadowoleniem do modelki.

— Zut! To pocóż pan ma takich znajomych?

— Jakich, koteczko, jakich? — dopytywał się niby ciekawie Skrzecki. A nie macie tam czasem dulca w gębie, apostoł?

Zawsze wkradną rękę:

— Tam, na półce.

Ilu ich było rzucili się jak szarańcza na tytoń i papierki i poczęli skręcać papierosy.

— A wy, Orliński? To ci leń, nawet do papierosów się nie ruszy, zaczepił go Kryński.

— Przestałem palić.

— No, ten szanuje swoje drogie zdroweczko.

Orliński smutnie pokiwał głową.

— Oj, zdroweczko...

Kryński na nowo wziął się do Jakajtysa.

— Powiedzcie no, dajcież nareszcie co na „Jesienną“?

— Tymczasem nie mam nic godnego.

— A skromny, jak fijołek w trawce.

— To nie skromność, ale dalibóg nie mam.

— Ciekawe, na co wy czekacie. Ile wy też sobie lat liczycie Jakajtys?

— Skończyłem dwudziesty siódmy.

— Co znowu? To też chyba przez skromność.

Śmiech rwał się na usta młodzieży, ale go powstrzymali gwałtem.

— Czego wy się wiecznie mnie czepiacie, Kryński? Nie wiem, dalibóg, co ja wam zrobiłem złego.

Skrzecki wszedł pomiędzy nich, jego pogodna natura nie znosiła sprzeczek.

— Nie wiecie coście mu zrobili... a to nie zaprosiliście go na ostatnie półgęski od stryjenki.

Jakajtys roześmiał się swoim rozbrajającym śmiechem.

— Ale i owszem, ja, dalibóg, gotów każdej chwili. Ano... zaczął.

Skrzecki palnął się w czoło.

— Do króset, to ci idjota ze mnie, byłbym zupełnie zapomniał. A przyszedłem z nowiną: co powiecie na to, że „pater“ cofnął mi subsydja. Ktoś, wracając z Lutecji, nagadał staremu, że się lampartuje, że do budy nie zaglądam i t. d. Swoją drogą jestem zadłużony, jak jaki baron i jutro mają mię uroczyście wylać z mieszkania.

— Jakto, i to cię w taki dobry humor wprawia? Cóż ty ze sobą zrobisz, człowieku?

— A no cóż? będę się gryzł? Przejdzie staremu, a tymczasem wsypię się do którego z was. Dobrowolnie, to mię chyba

mię wyciągnie, będzie mnie miał.

— Nabytek piramidalny, ani słowa — bąknął ze swym zjadliwym uśmiechem Kryński.

— „Ta gucule!” A ma się wiedzieć, że piramidalny. Dopiero zobaczycie, jaka to ze mnie Marysia do wszystkiego. Założę się, że żaden z was nie potrafi tak ja ogień w kominku rozpalić, befszytk na maszynie upitrasić. A już butów to żaden fagas nie wyczyści tak na glanc.

Obejrzał się za papierem, pocałował go na kawałki, jedną karteczkę zapisaną a inne puste wrzucił w kapelusz.

— No, ciągnijcie.

Przysadzisty rzeźbiarz i malarz a la Daudet wysunęli się cichaczem; pozostali sięgnęli po kartki. Orliński wyciągnął zapisaną. Skrzecki go porwał w objęcia.

— No widzisz, mało zielona, to już widać tam w górze zapisane, bo i tak myślałem swoje penaty przenieść do ciebie. Hurra! niech żyje kolonja polska.

— Ale, a propos kolonji polskiej — Jakajtys dźwignął swoją pokaźną figurę z empirowego fotelu — Powiedzcie no, koledzy, widział też który z was w tych czasach Władka? Nie ten sam. Któregoś dnia patrzę, idzie naprzeciw facet, wycięty w żurnalu, wygolony, jak lord angielski. Pókim go nie zoczył zbliska, wiary sobie nie dawałem. A ten w śmiech.—Cóżście tak zbaranieli? Szyk chłopak ze mnie, co? Bo ja głupi, biedę wiecznie gryść. Ideały! Sztuka przez duże S. A bierz djabli. Powiedziałem tej pani: jesteś mi macochą, poczekaj puszcze cię kantem, a wezmę się do sztuczek. Pókim wysyłał do kraju obrazy, z których każdy zabierał mi szmat życia, chodziłem bez butów. Jakem zaczął smarować „kicze” — rozlapują. Nasza publiczka nie pyta, żeś sobie nad pracą umęczył duszę, poszarpał nerwy: nie dasz tanio — nie dasz tanio — nie kupią. Chcecie płócien na łokcie — służę!

Żarski opuścił rękę z paletą. (d. c. n.)



CECYLJA WALEWSKA
II tytuł „Jabli idomina, ale cia grupie lasy, kto

„IRAI! IRAI!...”

NOVELA.

— Ojczy, powiedz mu, że ja chcę, ja muszę wrócić do niego... Jeżeli nie przebaczy...

Urwała. Nie mogła mówić: rozpacz schwyciła ją za gardło.

Świt zimowy drgał na popiersiu Wenus Medycyjskiej w rogu przedpokoju.

Bielski sięgnął ręką po palto i kapelusz. Prosty, sztywny, spojrzął na córkę, jak gdyby chciał spytać:

— Czy to nie nowa komedja?

Dał jednak pokój.

Skinąwszy głową z rezygnacją człowieka, którego ani świeże ciosy, ani skłębiony nad nim silniejszy może od wszystkich dawnych huragan nie przeraża przeszedł już bowiem, największą Golgotę, rzekł głośno: „Idę!” i chwycił za klamkę.

— Ojczy!...

Na kolanach Irena przyczołgała się do niego i przez łzy błagała:

— Ojczy powiedz mu, że... będę wyrobnicą... nie zleknię się pracy... najcięższej... aby tylko... przy nim...

Bielski spojrzął na córkę i pokiwał głową.

— Znakomita z ciebie tragiczka!—chciał powiedzieć, lecz znowu zamilkł: słowa stały mu w gardle.

Kto wie: może... tym razem... nie... zgrywa?...

Pójdzie, zrobi wszystko, powtórzy, zniesie jedno więcej upokorzenie...

Bom przecież... Zdzisław jej nie przyjmie i... nie przebaczy...

Zabiła go. Zabiła ich wszystkich — ta jedna blada kobieta, demon w alabastrowem ciele... córka jego... złe, duże samolubne dziecko, na które musi przyjść kara...

— Idę już, idę...

Włożył kapelusz, wyszedł.

Nikt go już nie zatrzymał.

— Z czem wróci? — Żeby prędzej, prędzej! — myślała, obciskając rękami skronie Irena.

Z drugiego pokoju dochodziło ciche łkanie.

Plakana matka.

I ona myślała, jak Bielski: *Plakana matka*

— Złe, duże, samolubne dziecko... cierpimy przez nią wszyscy... Ale... czy... rzeczywiście... przyszło na nią upamiętanie?... czy... naprawdę... chce wrócić... zostać?... czy... nie nowe szaleństwo rozpetanych nerwów i wyobraźni, bo... nie serca: nie miała go nigdy...

I... czy Zdzisław jej przebaczy?...

Irena stanęła za fotelem matki. Oparta o grzbiet jego plecami, płakała.

Przed oczami jej, jak paciorki różańca, jeden po drugim, przesuwaly się obrazy burzliwego życia.

Miała lat szesnaście, kiedy uciekła od rodziców, żeby wstąpić do jakiej nędznej trupy wędrowniej.

Ojciec i matka szaleli z rozpacz. Ją — śmieszyły te „drobnomieszczańskie” utrapienia.

Po trzech latach tułaczki, strapiona jakimś niepowodzeniem, wróciła.

W rok później wyszła za mąż za człowieka, który kochał ją od dziecka.

Ludzie straszili go, jej przeszłością.

Marszcząc brwi, odpowiadał, że tylko terażniejszość jej i przyszłość należą do niego.

Idjotycznie rozamorowany Zdzichl...

Przez miłość wmówił w siebie i w innych, że niema podwójnej miary sądów i idwojakich praw moralnych. Jeżeli mąż przed ślubem nie zdaje rachunków żonie, to i żona z zamkniętą księgą wejść może w nowe życie.

Przytem — mistyk — wierzył w tajemniczą moc oddziaływania swego, którem ją ujarzmi.

Przez pięć lat pozornie była mu wierna, rodzice jednak, widząc potajemne zdrady, znowu wpadli w rozpacz.

Po pięciu latach przejezdny tenor, zachwycony śpiżowym dźwiękiem jej głosu, namówił ją, żeby kształciła się na operową śpiewaczkę.

Uciekła od męża, porzuciła dzieci. Całe cztery lata nie wiedzano o niej. Aż narazie dziś rano, nim wszczął się ruch na ulicach, zadzwoniła do mieszkania rodziców błagając ojca, żeby poszedł do Zdzisława,

Co się z nią stało? —

Sama nie wiedziała.

Trzy dni temu miała mieć pierwszy występ w teatrze San Carlo w Turynie, a przed

miesiącem już, gdy zaczęła przechodzić partję Elżbiety z Tannhausera, opanowały ją dziwne refleksje.

Ona... ma grać świętą... wybawicielkę grzesznika przez miłość — poświęcenia, miłość — ofiarę. Ona, o której mówiono, że jest „bez duszy“; ona, która wierzyła tylko w miłość — szaf krótki, jak wydzwoniona na zegarze godzina.

Po tygodniu dosyć już miała każdego najsilniejszego wrażenia i oglądała się za nowem.

Nie wzruszyła jej nigdy rozpacz odrzuconego kochanka.

— Niech się powiesi...

Dziś tenor, jutro... burżuj — filister...

Aby szaleć!

I ona miała zbawiać grzeszną, potępioną duszę!..

Dziwnie spoważniała. Zaczęła błędzić sama po cichych małych kościółkach, żeby wczuwać się w pobożne nastroje. Zrzuciła jaskrawe kapelusze, pióra, wstążki, egrety. W ciemnej, prostej sukni, niepostrzeżona snuła się po pustych ogrodach i parkach.

— No, tylko aby przed debiutem nie wstąpić do klasztoru, bobyśmy musieli zmieniać repertuar! — mówił maestro — kapelmistrz, chwając jednocześnie, że robi postępy w zrozumieniu roli.

Przed dniem debiutu przyszedł maestro akompanjator nad wieczorem, jak zwykle.

Zapalono światła. Stała przy fortepianie. Już miała zacząć śpiewać, gdy wtem usłyszała nad sobą ciche wołanie:

— Ira!... Ira!...

Obejrzała się.

W pokoju, prócz niej i maestra — włocha, który nie znał nawet jej prawdziwego imienia, nie było nikogo, a jednak — szeptał nie ustawał.

Czyjś głos, dobrze znany, dawno nie słyszany, powtarzał:

— Ira!.. Ira!..

Tak wołał tylko mąż na nią... niegdyś.

Maestro rzucił przegrywkę pierwszej arji, kiedy Elżbieta, wchodząc do blaskiem zalanych pokojów, cieszy się wszystkim: cieszy się życiem.

— Czemu pani nie śpiewa? —

Obejrzał się.

Siedziała bez ruchu.

— Signora, zaczynamy...

Wstała. Maestro poddał ton.

— Nie, nie mogę... w tej chwili... do
prawdy coś się ze mną stało... może później,
za godzinę...

Rudy Piemontczyk z haczykowatym jak
dziób młodej sowy nosem obiecał, wrócić,
a ona, pogasiwszy światła, wsłuchiwała się
w ciszę.

— Ira!... Ira!...

W kłębach mroku coś zadrgało, zakoly-
sało się nagle. Para wielkich szafirowych
oczu spojrziała na nią.

Oczy Zdzisława.

Jak gazowe baloniki od cieniutkiej nit-
ki oderwane, wzbily się pod sam sufit
i patrzyły na nią z wezwaniem.

Chciała krzyknąć.

Nie mogła.

Chciała zadzwonić na służbę: palce zdre-
twiały, a widmo wzroku i miraż słuchu
wpijały się w mózg coraz boleśniej.

Maestro wrócił po godzinie.

Patrzyła na niego mętym, półprzytom-
nym wzrokiem i pytała, czy nie widzi nic
pod sufitem, czy nie słyszy jakiegoś obcego,
nieznanego sobie wyrazu? —

Ruszył ramionami i wziął ją za rękę,
zmierzył puls, dotknął skroni.

— Może gorączka? — Lepiej wezwać
doktora...

Nie nie odpowiedziała. Rzuciła mu pie-
niądze za dwie nieodbyte lekcje, a kiedy —
odchodząc — zawołał:

— Do jutra... o 10-ej... próba... w tea-
trze... proszę nie zapomnieć. bo zepsuje się
debiut...

Powiodła za nim, pełne zdziwienia spoj-
rzenie. Ona... śpiew... jutro... próba... debiut...

— Nie! — — —

Z jakimś obcym, dziwnym krzykiem
rzuciła się na łóżko.

Plakała pewnie, bo mokra była podusz-
ka, gdy zerwała się po godzinie z mocnym
postanowieniem powrotu do kraju.

Taka pałaca — naraz — tęsknota i ta-
ki wyrzut.

— Zabiłaś ich!

Że na kolanach powlokłaby się tam, do nich.
Skruszona, jak Tannhäuser w chwili
odkupienia przez śmierć Elżbiety.

Śmierć...

Jakiś dziwny lęk czołgał się po kątach
duszy.

I oczekiwanie.

Niby cichej, w czarną krepę wtulonej
sygnaturki przeznaczeń.

najbliższego pociągu, gdy wszedł młody pan
z białym goździkiem w butonjerce smockin-
ga i, zdziwiony, spytał:

— Co robisz? —

— Jadę.

— Ty?...

— Tak, dziś jeszcze.

— A debiut?...

Ruszyła ramionami.

— Nie przypominaj...

— Oszalałaś?... W pełni sezonu... z ta-
kim trudem zdobyty... cała prasa za nami...
Kapelmistrz, orkiestra, chór, soliści: wszyscy
mają czuwać, poddawać... Nikt jeszcze nie
miał takich warunków... drugi raz to się nie
powtórzy...

— Prawda tak, dziękuję ci... zrobiłeś
wszystko... ale... nie mogę...

Pan w smockingu ukląkł: przyrzekał
debiut w La Scali po dwóch miesiącach,
a potem — występy, na jakiej scenie ze-
chce...

Całował oczy, usta, włosy. Zdjął pan-
tofelek i wtulił usta w aźur blado — liljo-
wej pończoszki.

Nie odpowiadała na pocałunki. Patrzyła
w sufit, a potem — w ciemny kąt pokoju.

Nareszcie zerwała się.

— Nie zatrzymuj mnie. Daj pieniądze
odprowadź na kolej dziś jeszcze...

Przebrała się przy nim w szary kostjum
podróżny; spakowała trochę drobiazgów w wa-
lizkę, wydała kilka rozporządzeń jakimś
dziwnie obcym głosem, jakby ktoś za nią
mówił, nie ona sama albo — jakby powta-
rzała wyszarpywane z siebie przemocą wy-
razy.

— Chora jesteś. Nie puszczę ciebie...

— Ty... mnie?...

Zbiczowała go chłodnym, nakazującym
milczenia wzrokiem.

— No, albo przynajmniej odwieżę na
samo miejsce...

Wargi jej zbladły; w oczach rozpały
się suche płomienie zwykłego okrucieństwa.

— Zostaniesz. Jadę sama.

— Wrócisz?...

Nie nie odpowiedziała. Kazała sprowa-
dzić samochód,

Godzinę później już była w wagonie.
Jechała dwa dni, dwie noce.

Gdzieś przesiadała się. Jakiś usłużny
stary pan przeprowadzał ją kilka razy do

wagonu restauracyjnego. Płach za nią — zdaje się. Coś jadła. Coś odpowiadała staremu panu na pełne wykwintnej uprzejmości pytania: nie pamiętała, co? —

Jedna myśl kołowała w mózgu, huczała w skroniach:

Aby prędzej, aby prędzej!.. Aby raz już być tam... z nimi...

Aż nareszcie dziś — o świcie, nim wszczął się ruch uliczny, zadzwoniła do mieszkania rodziców.

Przebaczyli jej. Oh, oni przebaczyli zawsze... Ojciec poszedł do *niego*. Z czym wróci?... Jaki wyrok przyniesie.

Zegar wydzwonił siódmą. Ostatnie mroki czaiły się jeszcze po kątach, po białych ścianach i arabeskach sufitu. Chłód przejmujący wiał od okien. Świat zdawał się konać w rannym uścisku grudniowego ranka.

Irena drżała, jak liść, pełna dziwnie zabobonnego strachu.

Co się z nią działo?...

Miała wrażenie, że coś z niej wypelza: jakiś potwór włochaty, który osiadł na piersiach i dławi.

Było jej coraz lżej, a jednocześnie obездwładniał ją lęk coraz większy.

Czy... on... jej... przebaczy?...

Ptak w klatce zatrzepotał sennemi skrzydłami. Głuchą ciszę mroku przerywało łkanie matki.

Placząc, staruszka zaczęła mówić o dzieciach.

Zbyszko... już taki duży... uczy się w kompletach. Danuśka chodzi do szkoły froebrowskiej.

— On podobny do ciebie; a ona — do ojca...

Irena miała ochotę spytać:

— Czy wiedzą o mnie?..

Ale bała się. Wszystkiego się bała.

Gdyby prędzej, prędzej wrócił ojciec!..

Żalсна szarość przechodziła w ton perłowo — siny, jak gdyby ktoś przed oknami rozsunął motki pajęczyny.

W głębi mieszkania zadrgało światelko rozpalonej przed świętym obrazem lampki olejnej.

Lśniaca czerwona smuga, pełznąć ją ukośnie przez pokój aż do progu, jakby wzywała, jakby żywym głosem kazała iść za sobą.

Irena wlepiła oczy w światło i, jak szary, posłuszny cień, szła do niego.

Płomyk lampki drżał, syczał, rzucając ruchome blaski na obraz przed ołtarzykiem...

Zdawało się, że matka z dzieciątkiem na rękę występuje z ram, że otwierają się jej usta i podnosi ręka milczącą obietnicą cudu: przebaczenia — — —

Padła przed obrazem.

Grzesznica.

Rozkrzyżowały się ramiona, zadrżały wargi szeptem, którego nie przypomniła sobie nigdy później myśl, porwana ekstazą.

Taka cisza w piersiach! W oczach — blask — — —

Była, jak Tannhäuser w chwili śmierci Elżbiety; była, jak Elżbieta w modlitwie pod krzyżem — — —

Ranek grudniowy straszyl zadymką, gdy u drzwi przedpokoju rozległ się chrząst obracanego w zamku klucza.

Bielski wracał.

Nie słyszała go. Podniosła się dopiero, gdy dotknął rozkrzyżowanych jej ramion i rzekł głucho:

— Zdzisław ciężko chory: godziny jego policzone. Przed śmiercią chce cię zobaczyć. Od czterech dni bezustanku wymawia twoje imię. Idź, sama wyproś przebaczenie...

Spojrzała na ojca szeroko rozwartymi przerażeniem oczami. Myśli, jak spłoszone ptaki, zbiegały się i rozbiegały.

Naraz szybko, z władnym, bezkrytycznym postępowaniem:

— Chodźmy, ojczy, prędzej, prędzej, żeby... jeszcze... na czas...

Zbiegli po schodach.

On — sztywny, prosty, jak gdyby nie legły mu na ramionach krzyże ogrójców; ona — strachu i czekania pełna.



SKRÓT ŻYCIA.

Gdyś ten ziemski zaczął być,
Przyjemności masz aż zbyt:
Z mlekiem mamki pierś ci błyska,
Do snu buja cię kołyska.

Pokołysziesz w niej się z rok,
Potem stawiasz pierwszy krok,
Swą wygłaszasz pierwszą mowę,
Krzyczą: bóstwo jest domowe!

Żywy jesteś, jak ta rćć:
Biegasz, robisz na co chęć,
Na łbie mamie cieszesz koły.
Potem dają cię do szkoły.

Będiesz w szkołach coś tam kuł,
Potem wyjdiesz i z tych szkół.
Potem wino, śpiew, dziewica...
Minie lat ci połowica.

Marjaż potem: mnożysz ród.
Oto słodki życia skrót,
Najszcześniejsze trzy te ery
Twey doczesnej kariery.

Ale taki los jest ciał.
Trzeba umrzeć, kto żyć chciał.
Komu na świat było pilno,
Musi śpieszyć w głąb mogiłną.

Był się łatwo może stłuc:
Jakieś zapalenie płuc,
Jakieś kiszek nadużycie
I pożegnać trzeba życie.

Śmierć na wszystko słodki lek.
W grobieś sobie cicho legł.
Jedno co cię może trwożyć:
Aby z czasem znów nie ożyć.

Smoczek życia brać do ust,
Znowu ssać mamczyny biust,
Znów kołyska, nianka, szkoła,
Znów ten taniec raz do koła.

Znowu papierosów dym,
Znowu płynąć z bytem tym,
Widzieć, jak się znów zaczyna:
Znowu knajpa, śpiew, dziewczyna.

Znowu, gdyś na schyłku żądz,
Narzeczona, kościół ksiądz,
Znowu hymn: „Veni creator“
Znowu rodu's jest kreator.

Potem znów choroba, grób;
Znów mogiłną ziemię chrup,
Znów, że istnieć ci się chciało
Daj robakom na żer ciało.

Już ci zbrzydł ten cały kram
Z za cmentarnych nie chcesz bram
Na świat już za żadne skarby:
Znasz już szczęścia złudne farby.

Piasek, który był ten nasz
Rzuca w oczy ludziom, znasz.
Znasz zwodniczych żądz nargile.
Lepiej w cichej spać mogile.

Nie chcesz ziemskich żadnych chwał
W uciszeniu będziesz trwał
Z zamkniętymi snem powieki,
Niepowrotnie już, na wieki.

Jan Lemański. ☞



S.B.J. Kozłowski 1911

Z CYKLU: „KANIKUŁA“.

I.

Słońce tak pali... Wszędzie kwiaty, kwiaty,
jak niezliczone na pstrej kanwie wzory,
barwy i wonie, zapachy, kolory,
kłomby, jak wschodnich nababów makaty.

W topieli blasków utonęły światy,
żaru się sączą z niebiosów history,
upałne ranki, upalne wieczory,
jakieś tajemne pełnią się objaty.

Nocą odbiega zdradnie sen skrzydlaty,
aż różopalca zabłyśnie jutrzeńka
i zmora czuwań odprawi swe czaty.

I znów poczyna się dnia czar i męka.
upał, jak dziewa, i pieści i nęka,
słońce tak pali... wszędzie kwiaty, kwiaty...

Remigjusz Kwiatkowski.





JAKÓB WASSERMANN.

6)

Usta, które nie zaznały pocałunku.

(Z niemieckiego).

(Dokończenie).

Młoda kobieta z trudem zawlokła się po schodach na górę i zapukała do pokoju Siebengeista. Ponieważ nikt się nie odzywał, ujęła za klamkę. Drzwi były zamknięte. Wtedy zapukała raz jeszcze i rzuciła jakieś błagalne słowo, ale nie otrzymała odpowiedzi. Zeszła do apteki i spytała drugiego pomocnika, gdzie strychnina. W gruncie rzeczy wiedziała, że nie zażyje trucizny. Duch kłamstwa panujący nad jej mężem i nią zawiadnął. I ona, będąc tylko marnym robaczkiem, miała się za orła, a przynajmniej za jaskółkę, tęsknie szukającą gniazda.

Dzień był pochmurny i jakby senny. Niebo, barwy zielonawego błękitu, przesłonięte było cienkimi zastonami chmur. Wody, szmerząc cicho, spływały do strumieni. Poprzez czarno nakrapiany śnieg na roli sterczało rżysko późnej jesieni. Horyzont rozciągał się daleko, aż ku najdalszym granicom lasu. Słońce lutowe napępniało okolicę wiosennem ciepłem.

Pod wieczór przybył do nauczyciela Apolonusz Siebengeist.

— Chodźmy, już poraz ostatni, — rzekł wizor, a oczy jego błędziły niespokojnie pod ociężałymi powiekami.

Nauczyciel poszedł za nim, nie zdając sobie sprawy, co znaczą te słowa. Stracił zupełnie poczucie rzeczywistości. Jak pijak zapomina, co go skłoniło do picia, tak on zapomniał niemal powody tego, co go dławiło. Żył zaczął dziwnym, retrospektywnym życiem. Za jasnością halucynacji widział siebie takim, jakim był poprzednio i takim, jakim stał się obecnie. Własna jego mowa zdawała mu się inną, niż dawniej, innymi zdawały mu się jego myśli i uczucia. Obraz świata i ludzi stracił wszelki pozór czegoś samodzielnego i niezbitego. Ze wszystkich rzeczy, ze wszystkich wypadków, z każdej twarzy, z każdej zmiany dnia i nocy wynurzała się jakaś potworna tajemnica, która wywoływała w nim dreszcz zgrozy i napełniała smutkiem, innym zresztą, niż ten, który widniał na twarzy pro-

wizora. Ale, o, dziwo! Nad tem, jak światło w ciemnym lesie, unosiła się radość jakaś — radość samotności i swobody.

Udali się w stronę trupiarni. Był to mały ceglany domek, tonący teraz w mroku. Siebengeist wszedł do mieszkania grabarzy i kazał otworzyć drzwi trupiarni. Jeden z grabarzy, poczuwszy monetę w dłoni, przyniósł małą lampkę i wpuścił ich.

Na środku kostnicy stały dwie trumny, z jednej strony wsparte o ławkę. W jednej leżała staruszka, której niezupełnie zamknięte oczy zdawały się podejrzliwie patrzeć na wszystko, co się wkoło działo. Twarz jej żółta, jak świeży budulec, miała piętno szyderstwa i nienawiści. Po jej pomarszczonej skroni łaziła swolna jakaś spóźniona mucha. Stąd cała jej głowa, ozdobiona wysokim białym czepcem z niebieskimi wstęgami, zyskała wygląd dziwaczny i teatralny.

Obok leżała Myra. Na jednym z jej policzków była szczególna czerwona plama, niby pozostałość życia. Dolna warga opadła nieco, przez to twarz cała wyglądała na senną i znużoną. Czoło było dziwnie gładkie, jakby oszlifowane, a dokoła oczu ciągnęła się rysa dziecięcego zamyślenia. Ręce były złożone na piersi. Rękaw sukni poruszany lekko przez wiatr wieczorny, tworzył na palcach dziwny, zarys fantastycznego zwierzęcia.

Siebengeist ukląkł i cicho złożył głowę na brzegu trumny. Plecy jego zaczęły drżeć, prawa ręka konwulsyjnie szukała podłogi. Nauczyciel myślał coś pobożnego i nieokreślonego o śmierci. W końcu porzucił te myśli i zatrzymał wzrok na nieufnej twarzy staruszki. Gniewało go zuchwalstwo muchy, która siedziała na powiece oka, nieporuszona, niby senna.

Naraz zobaczył, jak Siebengeist podniósł się nieco, zaczął zbliżać swolna wargi do twarzy Myry, aż cicho przycisnął usta do jej martwych ust.

Filip Unruh wydał słaby okrzyk. Zdawało mu się, że ziemia rozstępuje się pod jego nogami. Gardło, serce i czoło paliły go, jakby stał w ogniu. Ale żelazny spokój wrócił nagle z niepojętą, zatrważającą szybkością. Zastonił oczy ręką i zwrócił twarz w stronę dziedzińca kościelnego i kawałka lasu za murem. W tej krótkiej chwili zrozumiał w jednym żywiolowym obrazie tajemnicę życia i śmierci.

Gdy wracali, jasny sierp księżycy błyszczał nad dachami miasteczka. Z dworca kolejowego dochodził przeciągły głos świstawki.

— Ciemność jest przykra i męcząca — pomyślał nauczyciel. Przestał teraz lubić noc, podczas której gorzki, dręczący smutek zyskuje nieprzepartą siłę.

Gdy szli za ogrodami, skrajem pola, Siebengeist zaczął mówić. Rzucił bluźniercze skargi i gorzkie szyderstwa, wzdychał ciężko i znów ucichał. Było to, niby rozpoczynające się szaleństwo. Jak w szaleństwie, z pięknej twarzy jego znikł wszelki ślad myśli świadomej. Wszystko, co czynił, nosiło piętno niewypowiedzianego bólu.

— Dobranoc, bałakarzu, — powiedział. — Dusza moja jest pusta, jak spalony dom.

— Jakich on też słów używa, — pomyślał nauczyciel. Poczul naraz głód straszliwy, gdyż od wielu godzin nic w ustach nie miał. Wstąpił więc do sklepu piekarza i zażądał świeżego razowca oraz trochę masła.

— Ach, mój Ty, Boże! Że też pan nauczyciel raz wreszcie wszedł do mnie, — rzekł piekarz i z twarzą napół chytrą, napół zafrasowaną, przykręcił i tak już słabe światło. Niedarmo to uczynił, gdyż na ladzie sklepowej leżał wielki foljant z biblioteki nauczyciela. Tylko co lubował się właśnie z całego serca ciekawym opisem wojny.

Filip Unruh natychmiast poznał książkę i złożył ręce w zdumieniu.

— Panie piekarzu, pan nie wie chyba, czyja to własność? — wyrzekł niepewnie, jak wszyscy ludzie dobrodusznym, gdy złapią kogoś na złym uczynku.

Piekarz tymczasem zaczął opowiadać jakąś niebywałą i nieskończenie długą historję. Historia ta płatała się coraz więcej, a opowiadający zdawał się rozumieć z niej więcej od słuchacza. Przysłowia i przypowieści mieszały się w niej, jak ziarnka anyżu w cieście. W końcu, jako apoteoza, wystąpiła pochwała rzemiosła, które ma równie jak wiedza, swoje dobre strony.

Nauczyciel uśmiechnął się. Ten śmieszny człowieczek, siedzący naprzeciw niego na niecce od ciasta, miał w chwale swej kłamliwości coś dziwnie pojednawczego. Jego nedorzeczne, kłamliwe słowa posiadały pogodę jakąś, która mimowoli pociągała słuchacza.

Cieszyło nauczyciela, że odzyska swe książki, ale cieszyło w mniejszym stopniu, niż przypuszczał. Byłoby to, niby podarek; własność swoją traktował jako coś, czego przedtem nigdy nie posiadał. Wiedział, że znajdzie tam jeno martwe rzeczy, jeno martwe kartki.

— Przeszłość jest to coś, co umarło, — myślał, — kto całuje jej trupa, czyni oblicze śmierci podwójnie straszniejszym. Kogo dotknęła śmierć, ten nazawsze oddalił się od życia.

Wieczór był tak ciepły i cichy, że nauczyciel zapragnął przejść się po mieście. Przecho- dząc wąską uliczką, na której znajdował się kościół, zobaczył w oświetlonej małej sieni siedzącą na progu domu niewielką dziewczynkę, która, ukrywając twarz w fartuszkach, płakała rzewnie. Dwunastoletni może chłopiec pytał się jej z surową godnością, zanurzony w kieszeniach:

— Czego płaczesz, mała?

Dziewczynka podniosła splakaną twarz i stojący w głębokim cieniu nauczyciel, poznał córeczkę pani Süszmilch.

— Nie mogę zadania zrobić, takie trudne! — szlochało dziecko.

Chłopiec chrząknął, rozstawił nogi, położył jej rękę na ramieniu i zaczął:

— Jesteś moją najgorszą uczenicą, Süszmilch. Na co ty w życiu wyrośniesz! Strasznie masz zielono w głowie. Pfe!

Filip Unruh przekonał się, że go chłopak przedrzeźnia i zaczerwienił się w swej kryjówce. Tymczasem dziewczynka otarła łzy, podparła rączką głowę, spojrzała żałośnie na roziskrzone gwiazdami niebo i wymówiła z głębokim przekonaniem:

O, tak! Pan nauczyciel to strasznie zły człowiek!

Nauczyciel przeszedł z wolna przez ulicę, wziął dziewczynkę w ramiona i uśmiechając się, złożył pocałunek na jej czole.

KONIEC.



H. DE BALZAC.

Ż E G N A J.

(Z francuskiego).

— No dalej, pośle z centrum, naprzód! Przyspiesz trochę kroku, jeżeli chcesz zasiąść do stołu razem z całym towarzystwem. Ruszaj-że pan nogami! No, teraz skok! Hop! Doskonale! Skacze pan przez zagony, jak młody jelen.

Temi słowami spokojnie siedzący na skraju lasu i tonący w obłokach dymu z hawańskiego cygara myśliwy zachęcał towarzysza, który po długim błądzeniu w gąszczu lasu de l'Isle Adam odnalazł go wreszcie i zbliżał się ku niemu. Obok niego cztery zziębnięte psy, równie niecierpliwie jak on spoglądały na zbliżającego się myśliwego. Aby zrozumieć, jak drwiące znaczenie posiadały te słowa, zaznaczamy, że myśliwy był tęgi i pękaty; jego wydatny brzuch wyglądał imponująco, niezem brzuch jakiegoś ministra. Toteż z mozołem wspinał się na pagórki, przesadzał zagony rozległego, świeżo zżętego pola, przytykając się co krok o ustawione snopy. Nadmiar nieszczęścia, promienie słoneczne, padając skośnie na jego twarz, pokrywały ją grubymi kroplami potu. Z trudem zachowywał równowagę, pochylał się to wprzód, to wtył, jakby naśladowując podrygi ciężko kołyszącej się landary.

Był to jeden z tych skwarnych dni wrześniowych, które, prażąc żarem promieni zwrotnikowych, barwią winogrona. Duszne powietrze

zapowiadało blizką burzę. Choć jeszcze liczne lazurkowe płyty przedzierały na horyzoncie wielkie czarne chmury, lecz już z szaloną szybkością zbliżały się ku sobie białawe obłoki, rozsuwając z zachodu na wschód szarawą zasłonę. Tylko w górnych strefach powiewał wiatr, nad ziemią dławiała atmosferę rozgrzana para. Otoczona wysokimi, porośniętymi lasem wzgórzami dolina, którą przebywał myśliwy, miała temperaturę pieca hutniczego. Ponury las stał milczący, zda się, spragniony. Ptaki i owady milczały, zlekka chyliły się wierzchołki drzew. Każdy kto pamięta jesień 1819 roku, niewątpliwie zlituje się nad niedolą biednego posła, z którego pot spływał strugami, gdy ciężko dysząc zdążał ku swemu towarzyszowi-szydercy. A towarzysz, paląc cygaro, starał się z wysokości tarczy słonecznej wyliczyć godzinę i ustalił, że musi już być piąta.

— Gdzież u licha znajdujemy się? — rzekł tęgi myśliwy, wycierając chustką czoło i opierając się o drzewo, tuż naprzeciw towarzysza, od którego oddzielał go jeszcze rów. Tego rowu nie miał już sił przeskoczyć.

— Kogo się pytasz? — odparł ze śmiechem towarzysz, tonący wśród żółtych traw, które pokrywały skraj lasu.

Rzucił w rów niedopałek cygara, mówiąc:

— Na S-go Huberta przysięgam ci, że już nigdy nie zapuszczę się w nieznaną okolice z dostojnikiem, choćby to był mój kolega szkolny, d'Albon!

— Ależ, Filipie, widać nie rozumiesz już po francusku? Zostawiłeś chyba rozum w Syberji, — odparł tłuszcioch, rzucając komicznie smętny wzrok na słup, wznoszący się o sto kroków od nich.

— Rozumiem, — odparł Filip i schwyciwszy strzelbę, pomknął pędem przez pole w kierunku słupa. — Tędy, tędy! pół-zwrot w lewo! — krzyknął towarzyszowi, wskazując mu szeroką drogę. — *Droga z Baillet do l'Isle Adam!* Powinniśmy teraz znaleźć drogę do Cassan, która łączy się z szosą do l'Isle Adam.

— Racja, pułkowniku, — odparł d'Albon, wkładając na głowę czapkę, którą się dotąd wachłował.

— A więc naprzód, szanowny sędzio! — rzekł pułkownik Filip i gwizdnął na psy, które słuchały go więcej, niż posła, choć ten był ich prawowitym właścicielem.

— Wie pan, panie margrabio, — dodał drwiąco wojskowy, — że mamy jeszcze dobre dwie mile drogi? Wioska, którą widzi pan tam, to musi być Baillet.

— Do licha! — krzyknął margrabia d'Albon, — jeśli się panu pooba, może pan sobie iść do Cassan, ale sam jeden. Ja bo wolę przeczekać tutaj, choćby pod deszczem, aż mi pan przyśle konia z pałacu. Kpisz pan sobie ze mnie! Mieliliśmy urządzić małe polowanie, nie oddalając się do Cassan, powłóczyć się trochę po dobrze znanych mi gruntach. A tymczasem ciągniesz mnie po wertepach, gnasz jak charta od czwartej rano i to o jednej szklance mleka! O, jeżeli kiedykolwiek będziesz prowadził pro-

ces, ja w tem, że przegrasz go, choćbyś miał tysiącokroć słuszność...

I zniechęcony myśliwy siadł na nasypie u podnóża słupa, zdjął z siebie fuzję i pustą torbę, poczem westchnął głęboko.

— Francjo, oto twoi prawodawcy, — wykrzyknął, śmiejąc się, pułkownik de Lucy. — Ot, gdybys pan spędził, tak jak ja, sześć lat w głębi Syberji...

Nie skończył i wznosił oczy do nieba, jak gdyby cierpienia jego były tajemnicą między Bogiem a nim.

— No, dalej w drogę! — dodał. — Jeżeli będziesz tak siedział — przepadłeś.

— Cóż robić mój Filipie. Stary sędzia, jak ja, czuje się dobrze tylko, kiedy siedzi! Ale doprawdy jestem wściekle zmęczony! Gdyby mi się chociaż udało zabić jakiegoś nieszczęśliwego zająca!

Dwaj myśliwi stanowili rzadki kontrast. Sędzia-posel miał czterdzieści dwa lata, a wyglądał conajwyżej na trzydzieści, podczas gdy wojskowy, choć liczył zaledwie trzydzieści lat, wyglądał conajmniej na czterdzieści. Obaj udekorowani byli czerwonemi wstążkami, oznaka Legji honorowej. Z pod czapki pułkownika wydobywały się kosmyki włosów o pasmach czarnych i siwych; skronie sędziego wieńczył bujny jasny włos. Pułkownik był wysoki, szczupły, suchy, nerwowy, a zmarszczki jego białej twarzy zwiastowały straszliwe namiętności lub straszliwe przejścia; twarz deputowanego tchnęła zdrowiem i jowialnością, godną epikurejczyka. Obaj ogorzali od słońca; ich długie skórzane cholewy nosiły ślady wszystkich rowów, wszystkich bagnisk, które przebyli.

— No dalej! — krzyknął de Lucy. — Naprzód! Za małą godzinę będziemy w Cassan przy suto zastawionym stole.

— Widocznie nigdy nikogo nie kochałeś, — odparł sędzia z miną żałośnie-komiczną, — jesteś nieubłagany, jak 304 paragraf kodeksu karnego!

Filip de Sacy zadrzał gwałtownie; jego szerokie czoło pokryło się zmarszczkami, twarz stała się pochmurna, jak niebo w tej chwili. Choć wspomnienie jakiegoś okropnego bólu ściągnęło rysy jego twarzy — nie uronił łzy. Podobny możliwym tego świata, umiał ukryć swe wzruszenia na dnie serca, gdyż znajdował, jak większość ludzi o czystym charakterze, coś bezwstydnego w obnarzaniu ran serca, gdyż żadne słowo ludzkie nie zdoła go wyrazić dość mocno, gdyż boją się drwin ludzi, niezdolnych pojąć i ocenić całą głębię bólu. D'Albon należał do tych subtelnich dusz, które domyślają się cudzych bólów, żywo wyczuwają wzruszenie, które wywołali niechęcy jakąś niezręcznością. Uszanował więc mileczenie swego przyjaciela, podniósł się, zapominając o zmęczeniu i ruszył za pułkownikiem, zmartwiony, że uraził niezabliżnioną ranę.

— Kiedys — rzekł Filip, ściskając jego dłoń i dziękując za tę niemą skrucę pełnem czułości i smutku spojrzeniem — kiedys opowiem ci historję mojego życia. Dziś nie potrafiłbym.

Szli dalej w milczeniu. Kiedy ból pułkownika zda się ustąpił, radca przypomniał sobie swe zmęczenie i wzrok jego instynktownie, podniecany przez wyczerpanie, zagłębiał się w gąszcz lasów; zapytywał wierzchołków drzew, badał drogi i ścieżki, w nadziei znalezienia jakiegoś schronienia, gdzie możnaby poprosić o gościnę. Na skraju kilku dróg wydało mu się, że dojrzał lekki dym, unoszący się między drzewami. Stał, spojrzał uważnie i rozróżnił w środku olbrzymiej płaszczyzny zielone i ciemne gałęzie kilku sosen.

— Dom! dom! — krzyknął z radością, jakiej doznaje marynarz, wołający: „ziemia! ziemia!“

Poczem ruszył pędem przez dość gęste zarośla, a pułkownik, pogrążony w zadumie, szedł machinalnie za nim.

— Wolę znaleźć tu zaraz jajecznicę, prosty stołek, niż wlec się do Cassan z jego kanapami, truflami i winem z Bordeaux!

Słowa te wygłoszone były z istnym entuzjazmem, wywołanym przez widok muru, którego szarawy kolor odcinał się w oddali, na tle ciemnej masy grubych pni i konarów.

— Oho! to mi coś wygląda na stary klasztor, — wykrzyknął margrabia d'Albon, znalazłszy się przed antyczną czarną kratą, przez którą widział w środku wielkiego parku dom, zbudowany w stylu dawnych gmachów klasztornych. — Ci przekłeci mnisi umieli odnajdować miłe ustronia!

Ten nowy okrzyk wywołało zdumienie na widok poetycznej pustelni, która ukazała się oczom radcy. Dom położony był na stoku wzgórza, którego szczyt zajmowała wieś Nerville. Wiekowe dęby lasu, który opisywał krąg dokoła budynku, czyniły zeń prawdziwą pustelnię. Mieszkalna część domu, przeznaczona ongi dla mnichów, wychodziła na południe. Park mógł liczyć koło czterdziestu przętów ziemi. Dokoła domu rozciągała się zielona łąka, malowniczo poprzecinana kilku czystymi strumykami, stanowiącymi wdzięczny obrazek — bez najmniejszej sztuczności. Tu i owdzie wznosiły się zielone drzewa o wysmukłych postaciach i różnorodnym ulistwieniu. Dalej, zręcznie urządzone grotty i szerokie tarasy z zapuszczonymi schodami i zardzewiałymi poręczami — nadawały specjalny wyraz tej dzikiej Tebaidzie. Sztuka zręcznie szarmonizowała tu swe twory z malowniczymi darami natury. Namietności ludzkie musiały cieknąć u podnóża tych wielkich drzew, które zabezpieczały to schronisko przed wrzawą szerokich gościńców życia tak samo, jak przed napastliwym ogniem promieni słonecznych.

— Co za nieład! — rzekł d'Albon, nasyciwszy się ponurym nastrojem, którym tętnęły te ruiny, cały ten pejzaż, jakby napiętnowany grozą przekleństwa.

Wyglądało to na jakieś przekłete, porzucone przez ludzi miejsce. Chwasty rozpleniły się wszędzie, rozciągały na wsze strony swe rozgałęzione nerwy, pokrywały wszystko swym obfitym płaszczem. Ciemne, zielonkowane, żółte i czerwone mchy zabarwiały romantycznymi kolorami drzewa, ławki, dachy, kamienie. Poniszczona okna spłowiły od deszczu, pogięły się; balkony były pokruszone, tarasy pokryte gruzem. Okienne gdzieniedzie ledwo trzymały się na jednym zawiasie. Uchylone drzwi nie broniły, dostępu żadnemu napastnikowi. Pokryte gęstymi kępkami mchu zaniedbane gałęzie drzew owocowych rozrosły się bezpłodne. Wysoka, gęsta trawa porosła aleje. Zniszczenie to nadawało obrazowi piętno czarującej poezji, w duszy zaś widza budziło smętne myśli i marzenia. Poeta stałby tu długo, pogrążony w melancholji podziwiając ten nieład, pełen harmonji, to zniszczenie, niepozabawione wdzięku. W tej chwili właśnie kilka promieni słonecznych, przedarło się przez nagromadzone obłoki, zalało potokiem tysięcobarwnego światła ten półdziki pejzaż. Czerepy dachu zabłyszczały, mchy zalsniły się, po trawie, pod drzewami przebiegły fantastyczne cienie, martwe kolory ożywiły się, zagrały pełnią barw, liście wydawały się ciemniejsze wśród otaczającej jasności. Wtem światło zgasło. I pejzaż, który przed chwilą, zda się, przemawiał, umilkł, sposepniał, stał się łagodny, jak najśłodszy półmrok zapadającego zmierzchu jesiennego.

— To pałac śpiącej królowej, — rzekł radca, który oceniał domy nie okiem poety, lecz gospodarza. — Do kogo to może należeć? Trzeba być nieładem głupcem, żeby nie mieszkać w tak pięknej rezydencji!

Nagle z pod olbrzymiego drzewa orzechowego, stojącego napravo od kraty cicho, bez szelestu, wymknęła się postać niewieścią, przemknęła przed radcą z szybkością cienia. Sędzia oniemiał ze zdumienia.

— Co się panu stało? — spytał pułkownik.

— Przecieram oczy i nie wiem, czy to sen, czy jawa — odparł sędzia, przyłgnawszy do kraty, aby znów ujrzeć widmo, które otarło się oń przed chwilą. — Musi być pod tem drzewem, — rzekł, wskazując Filipowi rozłożyste konary, wznoszące się nad murem napravo od kraty.

(d. c. n.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.— „ „ 5.— „ „ 2.50
Za odosłanie do domu 15 kop. kwartalnie.	Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“.

Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Głiszczyńska.

Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.